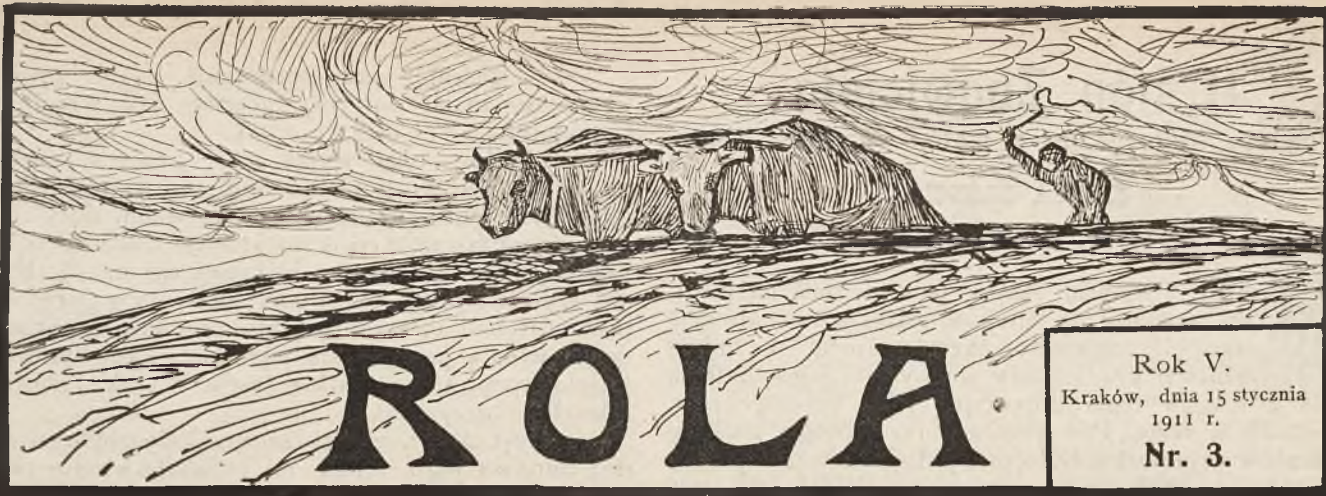


Rok V.
Kraków, dnia 15 stycznia 1911 r.
Nr. 3.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6

Zimowe szkoły rolnicze.



Niedawno wyszła książka wydawana corocznie przez austryackie ministerstwo rolnictwa, o zbiorach wszelkich zbóż i okopowin w całej Austryi. Z książki tej można się dowiedzieć nietylko, ile wogóle sprzątnięto pszenicy, żyta, jęczmienia, ziemniaków itd. w naszym kraju, lecz także, ile w każdym powiecie wynosił plon w ziarnie i w słomie z morgi. Zaczęliśmy porównywać plony u nas w Galicyi z plonami w Czechach i na Morawach oraz w innych krajach państwa. Porównanie wypadło zasmucająco.

Podczas bowiem gdy u nas, nawet w powiatach ze żyźniejszą, urodzajniejszą ziemią, morga ziemi wydaje 7 do 9 centnarów metrycznych (podwójnych) pszenicy a 6 do 8 żyta, w Czechach plon przeciętny z morgi wynosił w roku ubiegłym 12 do 14 centnarów podwójnych pszenicy a 10 do 12 żyta. Ale napotkać tam można powiaty, w których sprzątnięto z morgi 18 podwójnych centnarów pszenicy a 16 żyta. A powiatów takich jest nawet niemało. Po dobną różnicę zauważyć można przy ziemniakach. W Czechach i na Morawach zbiera się przeważnie dwa razy tyle z morga co u nas.

Szczęśliwy kraj, pomyśli kto, lecz równocześnie nasunie mu się pytanie, dlaczego to u nas tak nie jest, dlaczego nasza poczciwa, ukochana ziemia mniej nam rodzi, mniejszym obdarza nas plonem? Toż i u nas są okolice, które co do naturalnej żyzności ziemi w niczem nie ustępują ziemi czeskiej, u nas słońce tak samo świeci, a i deszcz takie same sprawia nam niespodzianki, że go jest wiele razy za mało, a rzadko tyle, ile go właśnie potrzeba i we właściwym czasie. Być może, że między Galicyą a Czechami i co do tego pewne zachodzą różnice, bo klimat nie wszędzie równy, ależ znowu różnice te same bynajmniej tak wielkiej rozmaitości w plonach sprawiać nie mogą.

Przypomnijmy sobie ostatnie sprawozdanie naszego wydziału krajowego o szkołach rolniczych, zwłaszcza niższych, dla włościan przeznaczonych. Bo trzeba wiedzieć, że owa wielka różnica w plonach w Czechach a u nas zachodzi nietyle na obszarach dworskich, ile właśnie na mniejszych chłopskich gospodarstwach. Obszary dworskie i u nas wydają więcej. Lecz cóż to jedno z drugiem ma wspólnego?

Zaraz się to wyjaśni. Otóż w tem sprawozdaniu naszego Wydziału krajowego mieści się gorzka skarga, że nasi włościanie nie okazują ochoty do uczenia się rolnictwa w szkołach. Wydział krajowy. dbały o dobro ludu rolnego, próbował kilkakrotni, zakładać tak zwane zimowe szkoły rolnicze dla synów włościańskich, w których się w miesiącach zimowych zaznajamiać mogli z postępami umiejętnego gospodarowania na roli. Lecz próby te marnie się skończyły, bo synowie włościańscy do tych szkół zapisywać się nie chcą. I w całej też Galicyi istnieje tylko jedna taka szkoła, a liczy wszystkiego 8 — dosłownie ośmiu uczniów.

Jakże inaczej dzieje się w Czechach i na Morawach! Tam takich szkół zimowych rolniczych dla włościan jest stokilkadziesiąt, a do wszystkich razem uczęszcza 2000 synów włościańskich w jednym tylko roku! Pomyślmy tylko! Dwa tysiące młodych gospodarzy rok rocznie osiada na roli, którzy w owych szkołach nauczyli się dobrze gospodarować, sztucznych nawozów używać, ziemię należycie uprawiać, a inwentarz tak żywić, aby również znaczny dochód przyniósł.

Widocznie zaś ta nauka na dobre im wychodzi, bo potem sprzątają z morgi dwa razy tyle zboża i ziemniaków, co u nas. To też wiedzie im się coraz lepiej, nie znają co bieda, a każdy z nich oprócz roli ma jeszcze sporą sumę koron w Kasie Oszczędności.

Więc żal zbiera, że u nas tak nie jest, że nasi włościanie nie mogą jeszcze pojąć i zrozumieć korzyści, wynikającej dla nich ze szkolnej nauki gospodarstwa. Wyjątków i u nas nie brakuje; tysiące kształcą się w Kółkach rolniczych i z „Przewodnika dla kółek“, ale to jeszcze nie wystarcza. Zawsze to tylko wyjątki. Ogół woli biedę cierpieć, niż trochę głowy wysilić.

A przecież i u nas ziemia coraz droższa a i podatki podnoszą się z każdym rokiem. Chcąc opłacić wszystko, co na ziemi ciąży, trzeba z niej wydobywać coraz więcej. A bez nauki to się osiągnąć nigdy nie da.

Wydział krajowy chętnie szkoły zimowe zakładać będzie. Niechże tylko ci, którzy ich pragną, zgłoszą się do tej najwyższej naszej władzy krajowej. Nic to nie będzie kosztować, a korzyści z tego odniosą wielkie.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

KSIĘGA TRZECIA.

1. Quintus Arrius.

Miasto Misenum, leżące o kilka mil na południo-zachód od miejsca, gdzie wznosi się dziś Neapol, nadawało nazwę zatoce, w której wodach przeglądały się pyszne jego pałace. Dziś z miasta tego pozostaje tylko kupa gruzów, a jednak w roku Pańskim 24, do którego musimy przenieść czytelnika, było ono jednym z ważniejszych punktów na zachodniem wybrzeżu Włoch. W czasach, o których mówimy, w murze opasującym miasto od strony morza, wybita była brama, od niej szła szeroka ulica do zatoki.

Pewnej wrześniowej nocy strażnik, drzemiący u tej bramy, został zbudzony głośnymi wybuchami śmiechu. Obejrzał się — zbliżała się wesoła kompania, złożona z trzydziestu ludzi. Wśród wszystkich wyróżniał się mężczyzna, lat około pięćdziesięciu, z wieńcem na wyłysiałem czole. Wszyscy mieli na sobie białe togi, oblamowane purpurą. Strażnik poznał odrazu patrycyuszów,[1]) którzy zapewne po nocy spędzonej na hulance, odprowadzali na okręt przyjaciela.

— Nie, mój Quintusie — mówił jeden z nich, zwracając się do tego, co miał na głowie wieniec — zły jestem na los, że zabiera nam ciebie tak prędko. Wczoraj wróciłeś z dalekich podróży i znowu znikasz nam z oczu.

— Ależ — zawołał drugi — zaniechajmy próżnych narzekań. Tracimy często Quintusa — to prawda — lecz za każdym jego powrotem święcimy nowe jego zwycięztwo.

Wesoła kompania przeszła bramę i skierowała się ku zatoce, oświetlonej pierwszym brzaskiem poranku. Fala zdawała się witać starego druha .a i Quintusowi zapach morza milszym był od kadzideł.

— Oto, patrzcie, nadpływa — mówił Quintus, ukazując na zbliżający się statek. — Po co żeglarzowi inna kochanka?

Patrzył z dumą na podpływający statek i miał istotnie z czego być dumnym. Trzy rzędy wioseł zanurzało się w wodzie, podnosiło, przez mgnienie oka zawisało na powierzchni, potem zanurzało się znowu ruchem jednozgodnym, miarowym. I oprzytomniając z zachwytu, rzekł Quintus.

— Przepraszam cię, Lentulusie. Pytałeś mnie, czy jadę na morze Egejskie?[2]) A ponieważ jestem już na odjeznem, mogę wam wyjawić cel mojej podróży... tylko ani słowa o tem nikomu. Słyszeliście zapewne, że handel między Grecyą a Aleksandryą znacznie mniej jest ożywionym, niż pomiędzy Aleksandryą a Rzymem. — Słyszeliście zapewne także o rozbójnikach, którzy grasują na morzu Czarnem. Otóż wczoraj przyszła do Rzymu wiadomość, że rabusie ci z całą flotą przepłynęli Bosfor,[3]) zatopili okręty nasze i nienasyceni łupami, wtargnęli na morze Egejskie. Kupcy zbożowi, posiadający okręty na morzu Śródziemnem, są tem przerażeni. Kołatali do samego Cezara i dziś z Rawenny odpływa sto galer, a z Misenum (tu się zatrzymał, jakby dla pobudzenia ciekawości swych przyjaciół) a z Misenum... jedna.

— Szczęśliwy Quintusie! Wkrótce powitamy cię jako zwycięzcę — to niezawodna!

[1]) Patrycyusze, wysoka szlachta rzymska.
[2]) Morze greckie.
[3]) Cieśnina między morzem Czarnem a Greckiem.

— Dziękuję wam serdecznie za te życzenia! Choć nie macie latarni, mówicie jak wróżbici. — Czytajcie!

Z fałdów togi wyjął zwój papieru, podał im go, a ci przeczytali pismo ministra wojny Sejanusa, mianujące Quintusa naczelnym wodzem floty.

Tymczasem Arrius nie słuchał treści listu. Oczy jego śledziły z lubością zbliżający się statek. Rozwinął szerokie fałdy togi i powiewał nią w górę; w odpowiedzi nad masztem okrętu powiewała szkarłatna flaga, wiosła poczęły się poruszać ze zdwojoną szybkością, rozpięto wszystkie żagle. Statek, jak strzała, mknął do przystani.

Okręt długi, wązki, zanurzał się głęboko w wodę; budowa jego miała na celu ułatwienie pośpiechu. Zgrabnie wygięty jego przód rozcinał, jakby nożem, fale, kończył się on wystającym wysoko ponad wodę dziobem, okutym w żelazną blachę, który miał służyć do obrony, również jak i do napaści. Boki statku zdobne były w posągi potworów dmących w muszle. Dwie olbrzymie liny, leżące na pomoście, oznaczały liczbę kotwic. Pośrodku wznosił się, przymocowany linami, gruby maszt, z powiewającym nad nim żaglem. Po tej prostocie budowy pokładu poznać było można, że główna siła statku polegała na wiosłach. Jakoż w niższej części okrętu były trzy rzędy otworów, przez które wychodziło z każdej strony po sześćdziesiąt wioseł. Parta całą ich siłą galera, zbliżała się do brzegów z szybkością, wyrównującą niemal szybkości naszych parowców.

Na pokładzie oprócz majtków, którzy przed chwilą rozpięli żagle, był jeden tylko człowiek w żelaznej zbroi i z tarczą w ręku, stał na przodzie galery. Gdy statek podpływał do przystani, człowiek ten wzniósł do góry rękę — ruch ten był widocznie sygnałem, bo wszystkie wiosła się podniosły, zawisły przez chwilą w powietrzu i znowu zanurzyły się w wodzie. Morze zakipiało, zapieniło się, galera wstrząsnęła się w swych podstawach i stanęła, jakby przelękniona.

Zagrały trąby, przez drzwi na pomoście zaczęła wysuwać się na pokład załoga w strojach odświętnych, w świecących chełmach, z błyszczącymi dzirytami i tarczami, ustawiając się, jakby do ataku; potem majtkowie wdrapali się po linach aż na szczyt masztów, oficerowie i muzykanci zajęli swe miejsca. A wszystko odbywało się cicho, bez nawoływań i wrzawy. Zarzucono most od statku do portowej tamy.

— A teraz do obowiązku! — rzekł wódz, zwracając się ku swym towarzyszom.

I zdjąwszy z głowy wieniec, podał go najbliżej stojącemu.

— Żegnajcie — mówił wzruszony — żegnajcie przyjaciele. Powitacie mnie zwycięzcą lub nie ujrzycie już wcale!

— Niech cię prowadzą bogi! — życzono mu chórem.

Skinąwszy ręką niewolnikom, co uchylali przed nim pochodnie, Quintus Arrius wstąpił na zwodzony most.

2. U wiosła.

Gdy wódz stanął na pokładzie, wręczono mu opieczętowane rozkazy ministra.

— Ilu masz ludzi? — pytał nadzorcę wioślarzy.

— Stu pięćdziesięciu dwu wioślarzy; dziesięciu nadliczbowych.

— Jak często się zmieniają?

— Co dwie godziny.

— Trzeba zdwoić pośpiech. Wiatr pomyślny; niech żagle pomagają wiosłom! — rzekł do oczekujących na rozkazy majtków, a zwracając się do głównego sternika, dodał:

— Ile masz lat służby?

— 23 lata.

— To dobrze! Jesteś właśnie człowiekiem, jakiego mi potrzeba.

Począł odczytywać rozkaz ministra a przeczytawszy, mówił sternikowi, jak ma jechać.

Około południa okręt był już daleko. Wiatr dął z zachodu, pędząc go w pożądanym kierunku.

Na pokładzie ustawiono ołtarz, posypano go solą i jęczmieniem, wódz składał na nim ofiary Jowiszowi, Neptunowi i innym bogom morskim, wylewał wino i palił kadzidła. Dopiero po dopełnieniu tych obowiązków i obrządków, Arrius spoczął w kajucie, dając jednak pilne baczenie na wszystko, co się działo na statku.

Kajuta znajdowała się w środkowej części galery, sklepienie jej podtrzymywał rzęd słupów, światło wpadało z góry, przez trzy wielkie otwory. Po obu stronach wiodły schody do pomostu, z którego wychodził maszt, najeżony strzałami i włóczniami. Kajuta owa była, rzec można, sercem okrętu, mieszkaniem dla załogi, salą jadalną, sypialnią, placem musztry i miejscem odpoczynku — o tyle, o ile nań pozwalała sroga karność.

W tylnej jej części była przestrzeń, na którą wchodziło się po kilku stopniach. Przed dużym stołem, wybijając na nim takt młotkiem, siedział dowódca wioślarzy; po jego prawej ręce stała klepsydra, to jest zegar wodny, według którego luzował ludzi. Nad nim, na wyższym jeszcze pomoście, otoczonym pozłacaną balustradą, na pięknie rzeźbionej katedrze siedział wódz. Wzrok jego, obejmując całą galerę, najczęściej jednak spoczywał na wioślarzach. Wzdłuż kajuty, po obu stronach okrętu, ciągnęły się trzy rzędy ławek, wzniesionych jeden nad drugiemi — po dwadzieścia w każdym rzędzie.

W dwóch pierwszych wioślarze siedzieli, w ostatnim, najwyższym, stali; tych wiosła były dłuższe. Wisiały one na ruchomych, giętkich rzemieniach, co ułatwiało ruch ich miarowy; u góry wiosła te wypełnione były ołowiem, przechodziły przez okrągłe otwory, powybijane po bokach statku. Nad głowami wioślarzy były żelazne kraty, przez które wpadało światło. Ciężkie było życie tych ludzi!

Dzień po dniu, w grobowem milczeniu, zasiadali każdy na swojej ławie; w godzinach pracy nie mogli nawet widzieć twarzy towarzyszów; krotkie chwile wytchnienia poświęcone były spaniu i jedzeniu. Nie słyszano nigdy ich głosu i po cóż zresztą słowa tam, gdzie uczucia wyrażać się mogą jedynie westchnieniem lub jękiem.

Na wioślarzy wybierano zazwyczaj więźniów wojennych, którzy się odznaczyli siłą i wytrwałością w boju. Praca ta jednostajna, automatyczna, nie mogła zająć całkowicie nawet nieukształconych umysłów; gdy z tak zadziwiającą zgodnością poruszeń zanurzali i podnosili wiosła, dusze ich błądziły po krajach rodzinnych, przed oczami ich przesuwały się wciąż jedne i te same, a zawsze drogie, coraz milsze obrazy.

Wódz, lubując się zręcznością wioślarzy i ich siłą, nie zastanawiał się wcale nad ich niedolą.

W owych czasach, zanim słodka nauka Chrystusa przenikła do serca ludzi, niewolnik nie był człowiekiem, nie myślano nawet, aby mógł cierpieć.

Arrius przypatrywał się ciekawie tylu odrębnym typom, badał charakter ich narodowości, a tak błądząc po tych twarzach, wzrok jego najczęściej zwracał się ku jednej. Wioślarz oznaczony był numerem 60. Skazańcom tym bowiem nie wolno było mieć nazwiska; wchodząc na dożywotnie galery, stawali się numerem ławki, do której ich przykuto.

Numer 60 stał w trzecim najwyższym rzędzie, po lewej stronie okrętu. Światło przechodzące przez kratę, oświetlało go dostatecznie, aby wódz mógł mu się przypatrzeć. Tak, jak jego towarzysze, był nawpół nagi, mała opaska przykrywała mu tylko biodra, obnażając kształty.

Arrius, jak każdy Rzymianin, hołdował sile ciała. Ulubionem jego widowiskiem były walki w cyrku. Widział, że zanurzając wiosło, młodzieniec całą połową ciała podawał się naprzód; wyjmując je wyginał się w tył, a swoboda i zręczność tych poruszeń były tak wielkie, że wódz posądzał go z początku o niesumienną pracę, lecz przyjrzawszy się sile, z jaką wiosło opierało się fali, jak śmiało i pewnie zawieszało się nad jej powierzchnią, uwierzył.

Zainteresowany coraz bardziej, usiłował dojrzeć twarz badanego niewolnika; twarz była delikatna, zdradzała wschodni typ; sądząc z niego, mógł mieć najwięcej lat 20.

— Chłopiec ten coraz więcej mi się podoba. Muszę się o nim dowiedzieć bliższych szczegółów — mówił wódz do siebie.

W chwili tej właśnie wioślarz obrócił się w jego stronę.

— Ha! więc to Żyd i taki jeszcze młody!

Pod badawczem okiem wodza, niewolnik oblał się żywym rumieńcem, lecz właśnie odezwała się pałeczka dowódcy wioślarzy. Wzdrygnął się, odwrócił i zanurzył wiosło... z mniejszą tym razem siłą. Po chwili spojrzał znowu w stronę Arriusa — rzecz niepojęta — na obliczu jego zobaczył przyjazny uśmiech. Tymczasem galera kierowała się ku wschodowi.

Za każdym razem, gdy wódz zasiadał na swej katedrze, oczy jego zwracały się na numer 60.

— Chłopiec ten ma właśnie siłę, zręczność i inteligencyę. Żyd — to przecież nie barbarzyńca. Muszę się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W JEDNOŚCI SIŁA!



Razem bracia! z dłonią dłonie,
Serce z sercem, dusza z duszą!
Wspólnej pracy duch zapłonie
I zawady się pokruszą!
Bo jedności grube ściany,
Bo jedności twarde mury,
Bo jedności węzły święte
Mają siły niepojęte.
Razem bracia! kto całuny
Kryje w sercu, żar w rozumie,
Kto uderza w zwątpień struny.
I słów wiary nie rozumie,
Ten porywy krnąbrnej woli
Niech w jedności koło wprzęga
Może wyrwie go z niewoli
Gorzkich uczuć — ta potęga!
Bo jedności węzły święte
Mają siły niepojęte.
W drodze naszej od kołyski
Do mogiły chwil niewiele
Życie chwyta nas w uściski —
Idźmyż razem przyjaciele!
W każdej dłoni moc olbrzyma
Gdy się złączą wszyscy razem,
Tych rąk, które jedność trzyma,
Nie rozdzieli nikt żelazem,
Bo jedności węzły święte
Mają siły niepojęte!

Jan Płodzień.



Losowanie Podarku Szczęścia

odbyło się w poniedziałek dnia 9 stycznia w Krakowie a dokonał go c. k. Notaryusz z Podgórza.

Wrzucono do wielkiego pudełka wszystkie, odliczone i skontrolowane numery prenumeratorów uprawnionych do udziału w podarku. Kolejno wyciągano numera wygrywających, poczem Notaryusz głośno ogłaszał wynik.

Pierwsza wygrana: Wielki obraz przedstawiający Wieczerzę Pańską (wartości 100 koron) wygrał:

Nr. 2730 Władysław Chruściel w Trześni.

Druga wygrana: Wielki obraz przedstawiający bitwę pod Grunwaldem (wartości 50 koron) wygrał:

Nr. 4242 Aleksander Musiał w Dąbrowie.

Trzecia wygrana: Książka ks. Biskupa Bandurskiego o Królowej Jadwidze (wartości 18 kor.) wygrał:

Nr. 3596 Leon Osmólski w Grudny Dolnej.

Dziesięć obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej (wartości po 10 koron) wygrali:

Nr. 273 Ks. P. Grębosz w Woźnikach.
Nr. 1296 Jan Batko w Osieczanach.
Nr. 4351 Piotr Bodzenta w Miękini.
Nr. 2112 Jan Czyż w Ocicach.
Nr. 2313 Jan Gacklik w Susznie.
Nr. 2752 Paweł Duda w Grodźcu.
Nr. 932 Józef Hypnarowski w Porębie Wielkiej.
Nr. 2939 Stanisław Suski z Bielan Nr 54.
Nr. 3877 Franciszek Budzisz w Pistyniu.
Nr. 2379 Antoni Łuszczyński w Jasionowie.

Książki do nabożeństwa dla osób starszych (po 2 k.) wygrali według warunków konkursu wszyscy prenumeratorowie, których numer kończy się na tę samą jednostkę, co pierwszej wygranej, a zatem na **zero** czyli prenumeratorowie mający numery: 10, 20, 30, 40, i t. d. do 2720, oraz 2740, 2750 i t. d. aż do 4460.

Po losowaniu p. Notaryusz spisał urzędowy protokół, który możemy każdemu okazać na żądanie.

Rozsyłkę »Podarków« rozpoczniemy w najbliższym tygodniu, zaraz gdy ukończymy rozsyłanie kalendarza książkowego.

Zrozumie każdy, że redakcya ofiarowując tak kosztowne podarunki nie może ponosić innych kosztów. Opakowanie książek pokrywa jednak redakcya własnym kosztem, wygrywający opłacą tylko należytość pocztową (rekomendowaną), zatem prosimy tych wszystkich, którzy wygrali książki do nabożeństwa, aby przysłali na ten cel po 55 h. przekazem pocztowym.

Ci, którzy wygrali obrazy, zwrócą za paczki umyślnie zamówione i za staranne opakowanie, aby się obrazy nie popsuły. Liczymy według tego, jak nam liczą: za obrazy Matki Boskiej po 1 k. 50 h. i prosimy, aby obdarowany te pieniądze przysłał.





Na uroczystość Imienia Jezus.

Jezusowego niechaj Imienia
Wzywają wszyscy biedni Polacy,
Aby dostąpić mogli zbawienia
Gdy na sąd wezwie Bóg ich po pracy.
Daj nam tę łaskę, Panie Jedyny,
I wszystkie nasze odpuść nam winy.

Kto Ciebie szuka, o Jezu Chryste,
Ten łask u Ciebie znajduje wiele,
O Tobie myśląc, ma serce czyste,
Z pokusą walczy nadzwyczaj śmiele,
A na swem czole nosi pogodę,
U Ciebie w troskach czerpie osłodę!

O Jezu! krew Twa i męki Twoje,
To łask skarbnica niewyczerpana,
Bo nam otwarły Niebios podwoje
I uwolniły z więzów szatana,
Więc niech rozbrzmiewa chwała dla Ciebie
I na tej ziemi i wiecznie w niebie!

Ciebie chcę szukać, o Jezu drogi!
Wszędzie i zawsze z rzewną tęsknotą,
Całować myślą Twe święte nogi
I z Magdaleną prosić Cię o to:
Bym u stóp Twoich, o Jezu Chryste,
Znalazł zbawienie me wiekuiste!

Jezus jest słodkiem źródłem pociechy,
Przez Boga dla nas ludzi wybranem,
Więc niech zwodnicze świata uśmiechy
Nie przeszkadzają nam iść za Panem,
Z Nim się połączmy duszą swą całą,
By nas rozdzielić nic nie zdołało.

O miłosierny Jezu, nasz Panie!
Daj nam łaskawie w dobrem wytrwanie,
Zbaw przez Twe Imię, Jezu, świat cały,
Który tak grzechy złością spętały,
Zdejm z nas, o Jezu, ciężkie kajdany
I zbaw nasz biedny kraj ukochany.

Na Imię Twoje mocarz potężny
Drży i w proch pada siłacz orężny,
Więc my padamy dziś na kolana,
Aby się Panie, Twa wola stała,
I zanosimy modły do Pana,
Aby nam Polska z martwych powstała!

Michał Szelest.

„Drzewo Maryi“.

(Legenda).

Po całej ziemi, będącej pod panowaniem Heroda, rozeszła się wieść, że w Betleem, w ubogiej stajence, narodził się król żydowski. Strach i trwoga przejęły Heroda. Nie mógł sobie wyobrazić, jak to być mogło? On, zdrów i silny, nie myśli o śmierci, a tam w poniżeniu przychodzi na świat jakieś dziecię, które ma go i tronu i władzy pozbawić?

Zawrzało gniewem serce Heroda. I władca ten, który już zamordował żonę swą, dwóch synów i wielu krewnych, postanowił wymordować wszystkie dzieci w Betleem od dwu lat i niżej, sądząc, że między niemi padnie i maleńkie Jezus-Dziecię.

Ale Anioł ostrzegł św. Józefa przed grożącem niebezpieczeństwem, wskutek czego Przenajświętsza Rodzina postanowiła uciekać do Egiptu.

Droga była daleka i uciążliwa. Z nieba prażyło gorące słońce i rozgrzewało ziemię, która znów piekła święte stopy uciekających. Na dłuższe odpoczynki nie było czasu, gdyż za uciekającymi biegła wieść, że Herod, nie znalazłszy Dziecięcia Jezus między pomordowanemi, postanowił szukać Go wszędzie, dopędzić i zabić.



Uciekała święta Rodzina ile sił było w strudzonych członkach, lecz nareszcie odpocząć musiała, aby sił do dalszej podróży nabrać i osiołka, który ich niósł na grzbiecie nakarmić i napoić.

Nieopodal zobaczyło Jezus Dziecię rosnące drzewo i zaczęło klaskać w maleńkie rączęta, główkę zwracać w tamtą stronę i uśmiechać się radośnie. Skierował ś. Józef kroki uciekających ku owemu drzewu. Po niedługiej chwili znalazła się Przenajświętsza Rodzina w cieniu drzewa, zwanego sykomora, pod którem usiadła, aby odpocząć po długiej podróży.

W tej chwili z poza pagórka odezwał się tentent i głosy ścigających i poczęły się wyłaniać postacie służalców Heroda.

— Znać wyraźnie ślady — mówił jeden — znać ślady świeże — teraz z pewnością ich dopędzimy i ujmiemy.

— Stanie się to tem łatwiej — odrzekł drugi — że jak okiem sięgnąć, rozciągają się puste pola.

— Jedno tylko drzewo stoi na uboczu — dodał inny — więc, choć do niego skręcać nie będziemy, zobaczymy wszystko dobrze.

Z podmuchem wiatru przyszła ta rozmowa do uszu uciekających. Na twarz św. Józefa wystąpiło zakłopotanie a Najświętsza Marya Panna przytuliła Dziecię do łona, jakby je chciała bronić przed złymi ludźmi. Natomiast na twarzy Pana Jezusa zaigrał uśmiech, a Jezus podniósł maleńkie rączęta ku górze.

W tej chwili końce gałęzi sykomory poczęły się obniżać i pochylać ku ziemi, tak, że utworzyły ponad świętą Rodziną rodzaj domku bezpiecznego.

Odetchnął św. Józef swobodniej, rozjaśniło się lice Maryi, tem bardziej, gdy zobaczyli na gałęziach drzewa owoce, któremi mogli głód, jaki im dokuczał, zaspokoić.

Tymczasem ścigający zrównali się z drzewem, które okrywało świętą Rodzinę. Jeden z nich chciał zbliżyć się, aby poszukać przy drzewie, lecz inni postanowili nie zbaczać z drogi, ale ścigać dalej, tem bardziej że, jak twierdzili, uciekający pod samotnem drzewem nigdyby się nie kryli, a gdyby nawet tak nierozsądnie postąpili, toby ich było widać z daleka. Wytłómaczywszy sobie to w ten sposób, popędzili dalej, zostawiając świętą Rodzinę uszczęśliwioną wskutek uniknięcia niebezpieczeństwa.

Gdy Jezus, Marya i Józef zaspokoili głód swój owocami sykomory, uczuli wielkie pragnienie, które potęgował upał dnia, jaki zwykle w tych stronach panuje. Pragnienie jednak nie przejmowało ich najmniejszą obawą, gdyż nieopodal płynął strumyk, z którego postanowili zaczerpnąć wody. Poszedł więc św. Józef z kubkiem do owego strumienia, aby zaczerpnąć wody, ale ku nowemu jego zmartwieniu spostrzegł, że woda w strumieniu była gorzka i słona.

Na głos świętego Józefa, oznajmiającego przykrą nowinę, poszła Najświętsza P. Marya z Dzieciątkiem nad strumień, z którego Jezus zaczerpnął swą rączką nieco wody, a ta natychmiast straciła swą gorycz i słoność, a stała się słodką i dobrą do picia.

Tym sposobem uciekający nietylko uniknęli ujęcia przez swych prześladowców, lecz nadto zaspokoili głód owocami sykomory i pragnienie wodą.

Po chwilowym odpoczynku Święta Rodzina udała się w dalszą podróż, a niedługo przybyła do miejsca, gdzie Jej już potężna dłoń Heroda dosięgnąć nie mogła.

Katolicy, mieszkający w pobliżu Arabii twierdzą, że był to pierwszy cud, jaki Pan Jezus zdziałał na świecie i legendę ową z całą wiarą wśród siebie przechowują.

Drzewo to uschło już dawno, lecz z konarów jego wnet nowa wyrosła sykomora, którą, jak dawniej, nazywają »Drzewem Maryi«. Arabowie otaczają je czcią niezwykłą, utrzymują, iż wydaje sok, uzdrawiający schorzałych i paralityków. Wskutek tego wielu cierpiących nacina korę tego drzew i stara się urwać kilka listków sykomory, a tem samem uszkadza samo drzewo. Arabowie sami, strzegący ogrodu, za niewielką opłatą rozdają liście z »Drzewa Maryi«.

Strumyk ów, z którego czerpał Jezus wodę, płynie również po dziś dzień i przynosi ochłodę i życie strudzonym wędrowcom.

W miejscu, gdzie płynie strumyk i rośnie »Drzewo Maryi«, jest dzisiaj wioska Mattarijeh.

Antoni St. Bassara.

Bitwa w Londynie.

W ubiegłym tygodniu stolica Anglii była — jak donosiliśmy — widownią niesłychanej walki, stoczonej z policyą i wojskiem, w samym środku ogromnego miasta. Wiadomość o tym niebywałym wypadku poruszyła świat cały, a wzburzyła Anglię, w której prawie się nie zdarza, by ktoś stawił opór władzy państwowej.

Przebieg bitwy był następujący;

Sąsiedzi jubilera.

W ostatnich dniach listopada wynajęli na ulicy Kutler dwaj żydzi rosyjscy, nazwiskiem Lewi i Goldstein, dwa domy, przytykające do budowli, w których znajduje się wielki sklep jubilerski. Ponieważ fakt ten zwrócił uwagę policyi, przeto byli obaj pilnie strzeżeni. zarówno jak i żydówka nieznanego nazwiska, która razem z nimi zamieszkała. Lewi i Goldstein podawali przy wynajmie, że zamierzają otworzyć sklepy w zajętych lokalach.

Niespokojna noc.

Dnia 16 grudnia w nocy usłyszeli policyanci podejrzane szmery, dochodzące z jednego z domów. Otoczono go i pięciu policyantów usiłowało wejść do bramy, gdy nagle rozległy się strzały rewolwerowe. Wszyscy policyanci zostali ranieni mniej lub więcej ciężko. Jeden z nich, sierżant, zginął na miejscu, drugi umarł w ciągu dnia następnego. Zbrodniarze uszli.

W mniemanym sklepie znaleziono liczne narzędzia do włamywania i jak potem się okazało także do fabrykacyi bomb Odrazu wiedziano, że złoczyńcy postanowili przebić ścianę, graniczącą ze sklepem jubilerskiem i okraść klejnoty. W walce zginął także jeden z mieszkańców pobliskiego domu, który wychylił się z okna, aby ujrzeć co się dzieje.

Fabryka bomb, o której wyżej była mowa, znajdował się w domu przy ulicy Kutler Nr 11; drugim domem wynajętym był Nr 9 zaś leżący między nimi dom Nr 10 był niezamieszkany. W sklepie jubilerskim mieściło się klejnotów na łączną sumę około 500.000 koron. — Złoczyńcy, uciekając, strzelali za siebie, aby uniemożliwić pogoń. Nie schwytano ich i ślad byłby zaginął, mimo usilnych poszukiwań, gdyby nie przypadek.

Niespodziewane odkrycie.

Mianowicie na drugi dzień po krwawem zajściu znaleziono w dzielnicy Witeszapel, w jednym z szynków, człowieka śmiertelnie rannego. Otrzymał on kulę w plecy. Wiadomość o tem nadeszła do policyi listownie, na komisaryat. Ktoś nieznajomy zatelefonował, iż przy ulicy Grove, w domu nr. 59, znajduje się człowiek umierający. Pod poduszką znaleziono brauning, rewolwer, jakich wiele odebrano już w Anglii zbiegom, przybywającym z Rosyi. Przy łożku siedziała młoda żydówka rosyjska, garbata, podająca, że nazywa się Sielińska. Opowiadała ona różne fantastyczne historye, lecz gdy nadeszli mieszkańcy domów, sąsiadujących z nrem 11 na ulicy Kutler, okazało się, że umierający jest żydem rosyjskim Levim, jednym z tych, którzy wynajęli domy koło sklepu jubilerskiego. Sielińską aresztowano, trupa zbrodniarza, który tymczasem skonał, zabrano do sekcyi. Najprawdopodobniejszem zdawało się, że został postrzelony przypadkiem przez swych towarzyszy, podczas ucieczki. Sfotografowano go i odbitkę włączono do wielkiego ogłoszenia, które rozlepiono po całym Londynie. Policya obiecywała w nim 12.000 koron nagrody za doniesienie o pobycie innych członków szajki z ulicy Kutler.

Dalsze odkrycia.

Zaraz nazajutrz do policyi zgłosił właściciel jednego z domów na ulicy Gold, oświadczając, że w zabitym poznaje człowieka, który przed dziewięciu miesiącami wynajął w jego domu kilka pokoi. Podawał się za malarza i w swem mieszkaniu pilnie pracował, nie wpuszczajac jednak do środka nawet służących, mimo, że często przybywali do niego ludzie nieznani, których bez trudności przyjmował. Podawał się za Rosyanina Moruncewa; było to nazwisko prawdopodoonie fałszywe, typ miał wybitnie żydowski. Właściciel domu oświadczył, że Moruncew dotychczas zatrzymał mieszkanie, choć nieczęsto w niem przebywał.

Arsenał w malarni.

Przystąpiono natychmiast do rewizyi. Okazało się, że rzekoma pracownia malarska jest składem broni i materyałów wybuchowych. Zaraz w pierwszym pokoju znaleziono dwanaście karabinów, w przyległym brauningi i amunicyę, oraz flaszki, mieszczące płyny do fabrykacyi bomb i wogóle środków wybuchowych. Lewi-Moruncew wychodził z domu kilka razy dziennie i zawsze miał pod pachą płaskie drewniane pudełko. które uważano za szkatułkę z farbami, w istocie zaś służyło ono do przenoszenia flaszek z płynami wybuchowemi. W ten sposób zbrodniarz zabezpieczył się, aby nikt nie przypuścił w pilnie pracującym malarzu — opryszka.

Po nitce do kłębka.

Odkrycie to posłużyło policyi za nitkę, po której zaczęto śledzić dalej za wspólnikami morderców. Ślady doprowadziły do pewnego domu na ulicy Sindley, który też obstawiono znacznym zastępem policyi. Okazało się, że policya trafnie śledziła za zbrodniarzami. Dom przy ulicy Sindley był w istocie gniazdem, w którem poszukali sobie przytułku nietylko wspólnicy bandy z ulicy Kutler, ale i inni bandyci żydowscy z Rosyi.

Twierdza w środku miasta.

Złoczyńcy podjęli rozpaczliwą obronę, strzelając z okien Siedmiuset policyantów, zbrojnych w rewolwery i karabiny, okazało się niewystarczającą siłą do wzięcia domu, musiano zawezwać gwardyę szkocką w sile 200 ludzi, która rozpoczęła regularny ogień do oblęganego domu. Tymczasem wieść o walce rozbiegła się po mieście i zaczęły napływać tłumy, które wezwane wojsko z trudem utrzymywało w oddaleniu od ulicy Sindley, zamkniętej kordonem.

Oburzenie w Londynie.

Wieść o oblężeniu obiegła Londyn, budząc grozę i oburzenie. Wszystkie dzienniki, które już dawniej atakowały rząd za słabość wobec przyjazdu szajek żydowsko bandyckich z Rosyi, podniosły alarm, reszta zaś prasy żąda natychmiastowego oczyszczenia Londynu z bandytów rosyjskich, pisząc że należy raz zrobić porządek z przybyszami tego gatunku.

Zbrodnicze gniazdo.

Od dawna zwracały dzienniki uwagę na gromadzenie się w dzielnicy Witeszapel żywiołów, które zakładały sobie ogniska, a przy sposobności zdobywały środki oszustwem, grabieżą lub mordem. Właśnie przed paru dniami, prawie z pierwszym brzaskiem Nowego Roku, znaleziono w parku miejskim zabitego rosyjskiego żyda, który, sądząc z papierów znalezionych przy trupie, nazywał się Baron. Policyant, patrolujący po północy, zobaczył, że przed jednym z pawilonów ziemia jest krwią zbroczona.

Niedaleko, w krzakach, leżało ciało o twarzy zmasakrowanej młotkiem. Śmierć nastąpiła jednak wskutek poranienia sztyletem w piersi. Zmarły otrzymał pięć ran, z których trzy były śmiertelne. Dotychczas nie stwierdzono, kto go zabił, lecz mord ten potwierdził opinię, jaki żywioł reprezentuje pewna sfera przybyszow z Rosyi, niebezpieczna dla porządku i spokoju publicznego w kraju, użyczającym im schronienia.

Witeszapel, część Londynu, głośna jako przytułek zbrodni, zmieniła się znacznie w ostatnich latach i nie jest tak groźną, jak bywała dawniej. Osobną, do 150.000 mieszkańców liczącą, jest część żydowska. Opisuje ją korespondent jednego z pism niemieckich w następujących między innymi rysach:

»Koło Mile End Road znajdujemy już tylko szynki, w których podają rosyjskie napoje i rosyjskie przekąski; na rogach ulic sprzedają zimne ryby i ogórki kwaszone, jak w żydowskich dzielnicach miast rosyjskich. Anglik, czytając ogłoszenia tutaj rozlepione, nie rozumie ani słowa; pisane są w żargonie, częścią literami hebrajskiemi, częścią rosyjskiemi. Świat żydowski, który tutaj jest w domu, uzupełnia się ciągle z Rosyi i z Królestwa Polskiego, zachowując swój wschodni stempel. Ta część Witeszapel ma jednak i swoje polityczne tajemnice. W roku 1905, podczas wojny mandżurskiej, w tych małych uliczkach gromadziły się setki żydowskich rekrutów-dezerterów. Niejedna bomba, która wstrząsała Rosyą, niejeden zamach na dostojnika rosyjskiego, zrodził się w mgle uliczek tej dzielnicy. — Anarchista, rewolucyonista może tutaj utonąć bez śladu...«

W tej właśnie dzielnicy rozegrały się obecnie oblężenia domów przez policyę i wojsko, regularne walki uliczne, roznoszące grozę po olbrzymiem mieście.

Zabarykadowany dom stał się wkrótce fortecą, na którą otwarto regularny ogień. Bandyci odpowiadali strzałami z karabinków, kryjąc się poza obramowaniem okien.

Walka ciągnęła się przez cały ranek. Zwołano w znacznym obrębie wokoło oblężonego domu przeszło tysiąc policyantów, następnie przybyła gwardya. Położenie dla oblężonych stawało się coraz gorsze; wcześniej czy później — musieli się dostać w ręce policyi.

Pożar.

Nagle usłyszano z głębi oblężonego domu wybuch, któremu ośmiokrotnie w krótkich odstępach czasu towarzyszyły dalsze wystrzały. Równocześnie z okien pierwszego i drugiego piętra buchnęły płomienie, które w krótkim przeciągu czasu objęły cały budynek. Wśród dymu i płomieni ujrzano bandytów na dachu budynku. Jeszcze stamtąd zaczęli strzelaninę do podsuwającej się ku budynkowi straży pożarnej i policyi.

Nieunikniona katastrofa zbliżała się coraz bardziej; wskutek utrudnionej akcyi ratunkowej pożar dokonywał dzieła zniszczenia i nagle około godziny trzeciej popołudniu dach budynku zawalił się, grzebiąc w płomieniach i gruzach ostatnich obrońców zbrodniczej nory.

Dopiero teraz straż pożarna mogła rozwinąć działalność dla opanowania pożaru. W przeciągu kilku godzin zdołano ogień ugasić i przystąpiono do rozgrzebywania gruzów. Powszechnem jest mniemanie, że między nimi znajdowali się przywódcy bandy, znani pod nazwami »Piotra« i »Fryca«. Byli to najgorsi anarchiści.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Skutki politycznej nienawiści.

Czy wiecie, kochani czytelnicy, co o polityce powiedział jeden z największych polityków przeszłego stulecia, kanclerz niemiecki Bismarck? Otóż powiedział on, że polityka spacza czyli psuje charakter ludzki...

Stary ten lis polityczny nie zawsze mówił prawdę, w tym atoli wypadku zupełną miał słuszność. Polityka bowiem naprawdę dużo rodzi złego; jak nienawiść, zachłanność, przewrotność, nawet prostą nieuczciwość, rozdwaja i różni z sobą rodaków, braci, wnosi niezgodę nawet do rodziny. Że tak jest, widzimy to codziennie w naszym kraju, a niemniej bolesne doświadczenia poczynili nasi bracia na Śląsku pruskim. Z politycznych przyczyn i względów walczyć oni tam muszą także z niemieckimi współwyznawcami swymi, niemieckimi katolikami — a nawet z pewną częścią własnych księży.

Wiadomo wam, kochani czytelnicy, że rząd pruski polskich naszych braci tamtejszych gwałtem zniemczyć pragnie. Do tego celu dążą też i niektórzy księża. W szkołach nie uczono ich po polsku, więc też trudno im wygłaszać polskie kazania, słuchać polskiej spowiedzi. Pragną tedy, aby ich polscy parafianie jak najrychlej się zniemczyli, bo wówczas już nie potrzebowaliby łamać sobie języka polską mową. Dla własnej zatem wygody pragnęliby pozbawić lud polski tego wielkiego skarbu, którym jest mowa ojczysta. Do takiego samolubstwa doprowadziła ich nieszczęsna polityka. Nie zważają oni nawet na to, że to ich dążenie sprzeciwia się zasadom własnej ich partyi — wielkiego Centrum. —

Przez długie lata bronili oni wiernie Polaków przeciwko rządowi pruskiemu, jako krzywdzonych. I dziś czyni to jeszcze znaczna większość »centrowców«, lecz są i tacy, którzy dla polityki godzą się na germanizacyę. Do tych złych centrowców, przeciwdziałających wzniosłym hasłom swej partyi: należą także wspomniani poprzednio księża śląscy.

Jeden z nich okrył się świeżo smutną sławą, bo nietylko sam usiłuje niemczyć lud polski, lecz także innych podjudza do tego w gazetach. Jest to niejaki ksiądz Rossek.

Polityka do tego stopnia spaczyła jego charakter, że znienawidził on nawet Matkę Boską Częstochowską, królowę Korony Polskiej...

· To okropne!

Prawdziwie! — Napisał on w pewnej gazecie, że księża górnoślązcy nie mogą pozwolić na to, ażeby ich polscy parafianie urządzali pielgrzymki do Częstochowy, do polskiej Matki Boskiej, bo są przecie na Śląsku niemieckie miejsca pątnicze, niemieckie cudowne obrazy, np. na górze św. Anny i w Niem. Piekarach. Tam także mogą doznać pociechy i pokrzepienia.

A więc ksiądz ten traktuje miejsca cudowne w ten sam sposób, jak rozmaite wody, miejsca kąpielowe, mówi: po co jeździć do obcych, kiedy się ma własne w swoim kraju, tak samo skuteczne dla zdrowia.

Tak jest! Nienawiść do Polaków tak mu już duszę spaczyła, że znienawidził nawet Jasną Górę dlatego, że to świętość polska. Radzi więc innym księżom, ażeby pielgrzymek polskich do Częstochowy nie błogosławili na drogę, nie witali uroczyście, aby ludzi od tych pielgrzymek odwodzili.

Ależ to wprost bluźnierstwo! tem okropniejsze, że z ust księdza! Niestety — ale jest to zarazem... owoc nienawiści politycznej.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

III.

Zbigniew padając — stracił przytomność. Gdy otworzył oczy i spojrzał — zdziwił się. Leżał w izbie ubogiej, na dość wygodnie zasłanem łóżku. Jak się tu znalazł? Nie mógł sobie przypomnieć. Chciał powstać, aliści zaledwie się poruszył, ból poczuł mocny w prawym boku. Izba była pusta, żadnego głosu ludzkiego nie słyszał.

— Co ze mną? Gdziem ja? — zapytywał sam siebie.

Tu dech wstrzymał — przed oczyma mu stanęła podczaszanka... szałas... ucieczka nocna...

W tej chwili właśnie drzwi izby skrzypnęły — do łoża zbliżyła się stara kobieta, o pomarszczonej twarzy.

— Magda! — zawołał Zbigniew, spostrzegłszy ją.

— Przecieżeś się ocknął panoczku! — z widoczną radością podchwyciła. A myślałam... nie daj Boże..

W kobiecie tej poznał Zbigniew swoją niegdyś mamkę, która wykarmiwszy go, naprzód z mężem w Antoniewie na łasce rodzica Zbigniewa mieszkała, następnie, gdy mąż jej zmarł — za grabarza wyszła i do Stepanowa się przeniosła.

— Już em cię opłakała... obżałowała, złocisty paniczu — gadała, siadłszy przy łożu. Niecnota kula ciałko ci rozerwała, strach jak... Kum Zachar, co się na ranach zna, powiadał, że trzech dni nie pożyjesz. A ja taki mu nie wierzyłam.

— Ale ona? ona? — dopytywał Zbigniew.

Staruszka nie rozumiała.

— O kogo pytasz, paniczu? — rzekła. — W lesie sameś ino leżał jedyny, więcej nikogo.

— Sam? — powtórzył bezmyślnie Zbigniew.

— Jako żywo. Wracałam z Białogórza do domu, na drodzem cię bez pamięci leżącego znalazła.

— Możeby to i lepiej było, gdybym życie postradał — szepnął smutnie Zbigniew.

— A! a! Cóż bo paniczu mówicie?... W czas gniewu bożego grzeszyć tak srodze!

Przeżegnała się staruszka pobożnie, patrząc ze zgrozą na swego ulubieńca.

— Gorączka was ima, paniczu... zaprzestańcie bluźnić. Albożeście nie młodzi? Alboż nie dla was świat szeroki?...

— Bo i nie dla mnie — westchnąwszy, odparł Zbigniew. — Nie wiesz, Magdo, co w Antoniewie się stało?

— Cóżby, sokoliku mój?

Zbigniew opowiedział nieszczęście swoje. Rzewne łzy pociekły z oczu Magdy, które zaledwie po długiej chwili utamować zdołała.

— Och! sokoliku mój, paniczu złocisty! zawodziła Magda. A któż ci się tak kulką przysłużył, paniczu? Bodaj Hriszka ze swoimi? Co?

— Hriszka?

— Pewnie on. Rozsiadł się pod Stepanowem, naród buntuje, do gromady swojej ściąga i rozbija kogo może. O nimeście jeszcze paniczu nie słyszeli. Straszny to człowiek — bez serca i sumienia. Ani on Pana Boga uczci, ani ludzi oszczędzi. Gałęzi wart, więcej niczego. Szukał go z ludźmi pan starosta Łukasz, brat podczaszego, co na zamku siedzą... aliści łotr umknął. Przez pewien czas — ani znaku o nim. W wodę wpadł. Teraz — powiadają — znowu po lasach się włóczy. Straszny człek jest... Bodaj naszego podczaszego napotka... I pewnie napotka.

— Hrynieckiego? — rzucił przez zęby Zbigniew.

— Jeden on u nas. W miasteczku, gdy zaraza rozszalała... daj Boże niechaj na bory i lasy idzie — tu Magda splunęła przed i poza siebie — uląkł się pan podczaszy, żonę, córkę i syna zabrał, taj wyjechał precz. Zarazę, powiadał, odbiegnę... w puszczy się przechowam póki nie minie... Byłoćby mu, gdyby go Hriszka napotkał.

— Wy tu o niczem nie wiecie? — nagle zapytał Karski.

— O czembyśmy wiedzieć mieli, paniczu — sokole? To chyba, że dnia ani godziny nie pewien nikt. Zmiłowania bożego czekamy, patrząc, skąd śmierć przyleci. Zaraza nie weźmie — hajdamak zatłucze...

— Podczaszostwu Hriszko nic złego już zrobić nie może — odparł Zbigniew, poczem dalszy ciąg przygód swych opowiedział.

Staruszka zdawała się nie rozumieć. Dopytywała o szczegóły, musiał jej Zbigniew powtarzać.

— Nieszczęście! nieszczęście wielkie: — mówiła, głową kiwając. — Dopytał sam podczaszy biedy, sam ją wyszukał. W lesie przed zarazą miał się skryć.

— Podczaszankę pewnie z sobą uprowadzili zbóje! — mruknął ponuro Zbigniew.

— Nie chybi, paniczu... nie chybi... Na co przyszło dziewce młodej!... Uprowadzili bezbożniki jedne, psy szalone... Takiej zdobyczy z rąk nie wypuszczają... Och! lepszą byłaby śmierć dla niej, jak taka niewola. Skoro w Hriszki łapy wpadła — po niej już!... Nie wróci do domu, nie wróci.

Tu spostrzegła Magda, że Zbigniewa gorączka porwała — w niepamięć wpadł, bredzić począł niestworzone rzeczy. Z troskliwością iście matczyną uspokajała go, utulała — wreszcie przemocą usta mu rozwarłszy, wlała w nie jakiegoś odwaru z ziół. Lek ten podziałał zbawiennie. Młodzieniec wkrótce się uspokoił i zasnął. Starannie go okryła Magda — kądziel wziąwszy, siadła z nią przy łożu.

Do izby niezadługo weszło dwóch ludzi. Jeden z nich stary, ledwie nogami powłóczył — głowę miał białym porosłą włosem, który z tyłu w kołtun zwinięty, na kark opadał. Broda długa, jak włosy biała, okalała mu twarz podłużną, zmarszczkami pokrajaną, z której para oczu strzelała przenikliwym blaskiem. Drugi był człek młody, rudowłosy, ponurej twarzy, na której nos sterczał spłaszczony z rozdętemi nozdrzami, ponad mocno zaciśniętą linię ust. Miał kaftan z białego płótna, narzucony przez głowę wprost na ramiona, bez rozporu, na którego przodzie był wydzierzgany krzyż czarnemi nićmi. Kaftany podobne nosili grabarze — krzyżownikami z tego powodu nazywani.

— Z Bogiem was witamy Magdo! — ozwał się pierwszy, wchodząc.

— Z Bogiem ostańcie kumie. Pójdźcież do ławy... stare nogi nie do stania — witała Magda.

— Jeśćby nam co matka postawiła — dodał drugi przybysz. — Człowiek rąk nie czuje z pracy.

— Biednyż z ciebie, mój Jonku — obejmując go i całując, mówiła Magda. — Wnet wieczerzę zastawię. Pacierza nie przeczekacie.

Jakoż po chwili na stole zjawiła się spora jedna misa i druga, obok flaszka gorzałki i drewniana czarka. Siedli wszyscy za stół; stary, obyczajem rusińskim, trzykrotnie się wprzódy przeżegnał, Magda i Jonek po swojemu — zachodniego wyznania będąc — jadło błogosławili. Jonek pierwszy flaszkę wziął, czarkę po brzegi nalał.

— W twoje ręce kumie Zacharze — mruknął, zaczem wypił, splunął i napełnioną znowu czarkę staremu wręczył.

Wieczerzę rozpoczęli, milcząc. Brali z wspólnych mis powoli. Nikt nie rozpoczynał gawędy. Dopieroż

gdy misy opróżniono, stary Zachar pierwszy zagaił.

— Cóż nasz szlachcic?

— Bóg łaskaw, kumie, Bóg łaskaw — odparła Magda. — Zbudził się... poznał swoją nianię odrazu.

— Dur go brał?

— Z początku nie, aż później, gdy mi opowiedział, co się z nim działo. Niebożątko moje, umartwienie ma wielkie. Gdybyście kumie wiedzieli...

— Trzeba mu było ziela dać — przerwał Zachar.

— Dałam, kumie, jakżebym nie dała? Krwi bym mu swojej nie żałowała. Skoro durem począł gadać, wnetem go napoiła.

— I usnął?

— Jak kamień. Śpi dotąd.

— Ano... to i zdrów będzie... Niedziela skoro przyjdzie, wstać może..

Magda w ramię ucałowała starego.

— Poczciwy z was człowiek, kumie złote macie serce. Modlić się będę, aby Bóg was od czarnej śmierci uchronił i lata długie jeszcze żyć pozwolił.

— Cóż opowiadał, matko? — zagadnął Jonek dotąd milczący.

— Co opowiadał... — żałobliwie powtórzyła Magda. — Ażem się, słuchając, popłakała. Straszne rzeczy. Hajdamactwo na dwór jego wpadło... ojca, matkę zabili, ludzi w pień wyrżnęli, wszystko spalili z ziemią zrównawszy. Nie straszneż to?

Kiwnął głową Zachar, westchnął.

— Biedny on, ależ niejednemu się zdarza coś podobnego.

— Prawda kumie — prowadziła Magda ze zwykłą podeszłym niewiastom gadatliwością — gdybyż to był koniec. Gdzie zaś. W świat się puścił sierota, niebogi. Powiada, choćby w Dniepr skoczyć! Taki go żal brał... Jechał szlakiem na Trechtymirów i tam, w lesie, patrzy: szałas, w szałasie ludzie... czworo czarna śmierć wzięła.



...Siedli wszyscy za stół.

— I to nie dziw — wtrącił Jonek — Samem jedenaścioro pogrzebał.

— Czekaj końca — ofuknęła go matka. — Jedna tylko żywa była dusza. Trupy — to podczaszy stary, żona jego, syn i pewnie który ze służby.

— Podczaszowie! — zawołał Zachar.

— Oni, kumie, oni...

— A córka? — przerwał Jonek.

— Słuchaj, gdy chcesz wiedzieć. Córka żywa... Panicz mój ulitował się nad sierotą i do Stepanowa chciał ją zawieźć... cóż z tego, gdy bies nasłał na nich w nocy hajdamactwo. Bronił się Zbiś sam przeciw gromadzie, aliści kulę mu posłali... Panienkę z pewnością łotrzykowie z sobą zabrali, a nikt inny, jeno on, Hriszko, potępieniec.

— Hriszko! — powtórzył głosem złowrogim.

— Co wam kumie? — spytała Magda niezwykłym tym wykrzykiem zdziwiona.

Zachar machnął ręką, splunął i głowę zwiesił.

— Co ma być? Alboż mile słuchać o podobnych plugastwach — odparł niechętnie, czoła potarł, wstał i czarek dwie gorzałki wychylił coprędzej jedna po drugiej.

— Stryj żałować jej nie będzie — roześmiał się Jonek. — Kto mu wiadomość tę przyniesie, dobrą weźmie zapłatę.

— Obrzydły człek — szepnęła Magda.

— Powiedzcie: zwierzę nie człowiek! — wtrącił Zachar. — Ano, rady tu niema... Skoro wpadła dziewka w ręce Hriszki... nie wróci do Stepanowa...

— To pewnie! — potwierdził Jonek.

— Boże miłosierny! Matko Najświętsza! ktoby się spodziewał! — zawołała, ręce składając, Magda.

— Ktoby się spodziewał? podniesionym głosem przemówił Zachar. — Ej matko ty... niewiastaś stara... tyleś na świecie lat przeżyła, a dziwisz się! Ktoby się spodziewał? powiadasz. A któż pewny jutra swojego? Człek zawdy złą dolę chce pominąć i szuka lepszej — ozwał się Zachar tym samym tonem. — Tumanią się ludzie, bałamucą.. Tak zawdy bywa... I ja... ja sam... mógłżem się spodziewać, że krew moja...

Słowa ostatnie zamarły mu na ustach. Pięścią zaciśniętą po czole się uderzył, zatrząsł się i zakończył wykrzykiem:

— Ej — ha!!...

Magda i Jonek spojrzeli po sobie.

— Mnie do domu czas — rzekł nagle stary. - Legnę, bodajby na ostatnią nockę... Skoro dożyję jutra, zajdę ranę szlachcicowi opatrzyć... Zdrowi bywajcie, matko.

— Bogu was oddaję kumie — półgłosem odparła staruszka.

Czapkę nałożywszy baranią, wyszedł stary z izby, pozostawiając matkę i syna jej w niemym podziwie.

Patrzyli oboje na siebie przez chwilę — jakby zapytując, co było powodem niezwykłego nastroju starego Zachara.

— Gorzałki nazbyt wypił — tłómaczył Jonek. Bredził jak twój panicz, matko, w gorączce.

Matka głową jeno potrzęsła.

— Nie, synku, nie... coś innego być musi. Zachar gorzałki zwyczajny.

— Opadła go mara i koniec — przeciągając się, ziewnął Jonek. — Co nas obchodzić może... Mnie przynajmniej nic. Spać się położę oto, bom spracowany setnie.

Jako rzekł, do sąsiedniej komory wyszedł, która mu za sypialnię służyła. Magda przy łożu siadła — kądziel wziąwszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czytelniku! Niech nie braknie nigdzie naszej „Roli",
Ona w pracy Ci pomoże, pocieszy gdy boli...
W przykrych chwilach rozweseli, zabawi w potrzebie,
A gdy trza, to pouczy, uświadomi Ciebie.



MACIEK BZDURA GADA:

To wszyćko, co ja w tamte niedzielę w gazycie gadał, to nie ja gadał, ino Kaśka wójtowa na skrypturce takie boštefranty wybabrała i mnie podpisała i do gazyty posłała. Gazyciarze myśleli, że to moje gadanie i kazali je wydrukować. A to wszyćko nieprawda, co tam było napisane, bo takich brzyćkich rzecy nigdy nie było, a ino Kaśka tak chciała, zeby były, coby mnie przed całem światem opaskudzić.

A chciała ona to zrobić, zeby mnie inse dziwki nie chciały, bo ona ma na mnie chrapkę, więc takie bezeceństwa na mnie wygaduje. Skaranie boskie z temi babami, taj tyle.

Jedna niewiasta od Krzesowic, tak do mnie pise:

»Kochany Maciuś! Zebym ja nie była mężatką, ale panienką, albo insą kobitą, tobym ci się sama oświadcyła, takiś urodny i przyścipny. Ale ze to Pon Jezus mojego starego we wsi chowa, a ja wolności i panieństwa ni mom, to choć koruny na gazytę posyłam, abym na twoje ocka malowane patrzyć mogła i twojego gadania słuchać mogła«.

Tak pisała owa niewiasta z pod Krzesowic, a Kaśka to pewnikiem przewąchała i takiego mi śpasa wyrznęła.

Wszyćkie mądre ludzie zaraz poznali, ze to nie moje gadanie, ino podrobione, jak zydowska wódka, ale znaleźli się takie adukaty, co myśleli, ze ja akurat sam na siebie tak cyganił. Te męcynosy nie poznali się na tem, ze zaden człowiek nigdy sam na siebie źle nie powie, a ja, Maciek, najmądrzejszy z cały wsi gazda, miałbym źle o sobie gadać. Fe! nie honor i koniec.

Ze to wszyćko nieprawda, zem morski choroby na pastyrce ni mioł, to najlepsiejse z tego przekonanie, ze ja pana organistę wielce sanuję, a jesce więcej jego capkę. Cemu? No, bo capka kostuje pieniądze, a organista nie! Zreśtą Kaśka nawet ani na pastyrce w kościele nie była. Wójt kazali jej pójść, ona niby to posła, ale jak przewąchała, ze juz wsyscy z chałpy powychodzili, to się wróciła, wlazła na wyrko i chrapała do rana.

Kaśka juz nieraz mi rozmaite figle robiła, aby mnie ino na śmich przed parafiją wystawić. Raz naprzykład chciała mnie wódką pocęstować. Sama napiła się do mnie z jednej flaski, a potem ją prędko schowała i z drugi nalała la mnie kanfiny. Łyknąłem i zaraz poznałem, ze kanfina, ale udałem, ze to wódka. Wtedy Kaśka myślała, ze się pomyliła, więc łap za drugą flaskę, aby mi dać kanfiny i nalała kielisek wódki. Wypiłem a potem śmiałem się z Kaśki, ze ona taka głupia.

Za to teraz ona się mści na mnie na wsyćkie boki i obiecuje interpelacyje na mnie wniść, ale ja się nie boję, bo za mną wójt i cała gromada.

Z TYGODNIA.

Nowy kardynał polski. Ks. Józef Bilczewski, arcybiskup - metropolita lwowski obrządku rzymsko-katolickiego, ma zostać niebawem mianowany przez Ojca św. kardynałem. Jak wiadomo, obecnie jest tylko jeden kardynał polski książę biskup krakowski Puzyna. Z rzymsko - katolickich arcybiskupów lwowskich już dawno żaden nie był kardynałem. Ostatnim kardynałem lwowskim był arcybiskup ruski, ks. Sembratowicz, zmarły przed kilkunastu laty.

Nowi ministrowie. Pisaliśmy, że po obaleniu dawnego gabinetu cesarz polecił dawnemu prezydentowi ministrów, baronowi Bienertowi, utworzenie nowego gabinetu. Po wielu trudnościach udało mu się w poniedziałek powitać nowy gabinet, w skład którego wchodzą: Prezydent ministrów: baron Bienerth; minister spraw wewnętrznych: Dr. Maksymilian hr. Wickenburg; minister oświaty: hr. Stuergkh; minister sprawiedliwości: Dr. Hochenburger; minister skarbu: Dr. Robert Meyer; minister handlu: Ryszard Weisskirchner; minister robót publicznych: Dr. Karol Marek (Czech); minister kolei: poseł do Rady państwa i Sejmu prof. Dr. Stanisław Głąbiński; minister rolnictwa: bar. Wojciech Widmann; minister obrony krajowej: marszałek polnyporucznik Fryderyk Georgi; minister dla Galicyi: Wacław Zaleski.

Morderstwo na Śląsku. Donosiliśmy już nieraz o pladze, jaką są bandyci rosyjscy w wielu krajach Europy. Wielu z nich było poczciwymi, robotnikami, nim przeszli do rewolucyi rosyjskiej, która po przegranej wojnie z Japonią wybuchła w całej osłabionej walką Rosyi. Z początku zabierali spokojnym mieszkańcom majątek i pieniądze na cele rewolucyjne i udowadniali, że rabują nie dla przyjemności, ale z koniecznej potrzeby, aby uwolnić Rosyę z niewoli.

Lecz każdy grzech, jeżeli się człowiek zawczasu nie pomiarkuje i nie poprawi, prowadzi do jeszcze większego grzechu. Tak było i z tymi rewolucyonistami. Wnet stali się bandytami, zaczęli rabować nie dla wspólnej kasy rewolucyjnej, lecz dla siebie i rabowali, mordowali ludzi niewinnych coraz częściej i tak się do tego strasznego rzemiosła przyzwyczaili, że już nic ich od tego nie odwiedzie.

Przed paru dniami kilku z nich pojawiło się w Dziedzicach i zaraz swój pobyt zaznaczyło strasznym mordem, którego echo obiegło całą Polskę. Wieczorem wpadli na plebanię, ograbili kasę zranili ciężko i zamordowali strzałami proboszcza ks. Macoszka. Rannego odwieziono do szpitala w Bielsku gdzie po tygodniu skonał. Ks. Macoszek znany był na całym Śląsku z pracy nad oświeceniem i podniesieniem dobrobytu ludu śląskiego i był tam bardzo kochany i poważany. Dlatego napad na zasłużonego księdza wywołał tem większe oburzenie.

Jak nawet tak straszne zbrodnie są zaraźliwe, jest świeżym przykładem inny napad na pocztmistrza w niedalekiej wiosce Chybiu. Czterech robotników tamtejszych, nasłuchawszy się o tych rabunkach, jakich od dłuższego czasu dopuszczali się w tamtych rozbójnicy, podchmieliwszy sobie poprzednio, postanowili podobny napad na pocztmistrza Raaba, gdy ten o zmierzchu szedł gościńcem. Lecz grzech ten strasznie się na nich zemścił. Pocztmistrz w chwili gdy go przewrócili na ziemię i poczęli rabować, chwycił za rewolwer i strzelił pięć razy, raniąc wszystkich napastników. Dwóch ciężko rannych w głowę i brzuch upadło na ziemię we krwi a po chwili jeden z nich wyzionął ducha. Dwaj lżej ranni zbiegli, lecz wkrótce ich schwytano i uwięziono.

KRONIKA.

Kalendarze książkowe, jak już donosiliśmy, zamówiliśmy w księgarni, ponieważ nam zabrakło. Tych, którzy kalendarzy jeszcze nie otrzymali, prosimy ponownie o cierpliwość. Dnia 16 lub 17 b. m. będą już wszystkie rozesłane.

Dziwna rzecz, że otrzymujemy wiele upominań się o kalendarz, numery, podarki od tych, których w naszych książkach rachunkowych nikt nie znajdzie, choćby miał najlepsze oczy. Znaczy to, że upominają się o »Rolę« ci, którzy całkiem nie zapłacili. Otóż my jeszcze raz uroczyście ogłaszamy, że wysyłamy tylko tym, którzy przyślą prenumeratę. Jeżeli inne gazetki przysyłają za darmo albo na kredyt, prosimy do nich się zwrócić. My nikomu niczego nie zazdrościmy. Prosimy więc tych wszystkich, którzy chcą mieć »Rolę« zaraz, aby też zaraz przysłali pieniądze.

W dzisiejszym numerze podajemy wyjątkowo o jeden obrazek większy mniej, z powodu braku miejsca, gdyż chcielimy napisać obszerniej o sławnej bitwie w Londynie, która cały świat tak bardzo zajęła.

Prosimy bardzo jeszcze raz tych wszystkich, którzy nadsyłają cokolwiek do druku, czy to wiersze, czy prozę, lub też zagadki, aby zechcieli pisać tylko po jednej stronie papieru, a drugą zostawiali wolną — niezapisaną. Przytem należy pisać wyraźnie, gdyż inaczej często dobre rzeczy leżą długo, ponieważ nam brak czasu na przepisywanie.

Ks. biskup Edward Likowski, administrator archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, obchodzić będzie w grudniu b. r. złoty jubileusz kapłaństwa. Wielkopolska przygotowuje się już teraz do uroczystego obchodu tego jubileuszu.

Najdawniejsza gazeta polska pokazała się równo 250 lat temu, dnia 3 stycznia 1661, a nazywała się »Merkurjusz polski«. (Merkuryusz znaczy tyle co posłannik rzymskiego bożka Merkurego, który był posłańcem »króla bogów« Jowisza). Założycielem tej pierwszej gazetki polskiej, która tak jak »Rola« była tygodnikiem, był niejaki Piotr Gorczyn, człowiek zamożny. Ale po kilku latach stracił on cały majątek na wydawanie gazety, którą za mało ludzi chciało czytać i umarł w nędzy a pismo upadło. Dziś jest w Polsce niewiele lepiej, piszący gazety nieraz muszą cierpieć niedostatek, bo za mało ludzi, szczególnie po wsiach, lubi czytać, zatem gazetki nie mogą się same utrzymać i trzeba do nich dopłacać.

Przyjaciel socyalistów. W Przemyślu na poufne zebranie socyalistów jeden z nich przyprowadził ze sobą żołnierza, celem zbadania o ile hasła socyalistyczne mają już przystęp i do wojskowych szeregów. Przewodniczący zebrania przystąpił do owego szeregowca i spytał go:

— Słuchaj towarzyszu, gdybyśmy się tak ruszyli, a kapral kazał ci do nas strzelać, czylibyś go usłuchał?

Żołnierz pomyślał chwilę, potem rzekł:

— Nie!

— Wiwat! niech żyje! do góry z nim! — ozwali się chórem zebrani i poczęli mu ściskać ręce. Po chwili przewodniczący pytał dalej:

— A gdyby ci oficer kazał strzelać?

— Nie!

— Nawet pan kapitan?

— Też nie!

— Brawo! Doskonale! — ozwały się znowu głosy, porwano go na ramiona i obnoszono po sali. Po skończonej radości jednemu przyszła myśl do głowy: zapytał żołnierza:

— A dlaczegobyś ty właściwie do nas nie strzelał?

— Bo ja jestem tambor i ni mam gweru!

Złego życia smutny koniec. Żyłka złodziejska to taki sam trudny do zwalczenia nałóg, jak pijaństwo lub nieprzeparta ochota do kart. Zdarzało się dawniej, przed wielu laty w naszych wsiach podtatrzańskich, że nawet zamożni gazdowie wybierali się na Węgry łupić karczmy lub dostatnie gospodarstwa. Nie tyle może chodziło takiemu awanturnikowi o zdobycie złodziejskim i zbójeckim sposobem dużo grosza, ile o przygody, niebezpieczeństwa, a głównie o to, aby z takiej wyprawy wrócić cało, skradzione pieniądze bezpiecznie zakopać, a żandarmi żeby go nie zdołali przyłapać.



Był na Węgrzech w pewnej dużej wsi chłop Koloman Nehedy, któremu się dobrze powodziło, mógł żyć uczciwie i gospodarować, ale żyłka złodziejska nie dawała mu spokoju. Od czasu do czasu wybierał się cichaczem do sąsiednich wsi, aby cośkolwiek ukraść. Nie zawsze uchodziło mu to na sucho. Kilka razy przesiedział się w kryminale. Ale kara go nie poprawiała, owszem rozsmakował się tylko w niebezpiecznem rzemiośle. Raz nocą zakradł się do komory zamożnego gospodarza na końcu wsi, skorzystawszy z tego, że domownicy byli na weselu i obciążony kilku połciami słoniny ścieżkami poza wsią umykał z łupem ku swej chałupie. Nie zauważył, że spostrzegł to żandarm, który miał tej nocy służbę i przy księżycu chociaż zdala poznał, że ktoś dźwiga coś podejrzanego. Puścił się za nieznajomym w pogoń, ten począł jednak zmykać co tchu. Żandarm zawołał wreszcie, aby stanął, bo inaczej strzeli. Do trzech razy powtórzył rozkaz, lecz złodziej nie posłuchał. Wobec tego żandarm na postrach wypalił, lecz nieszczęśliwym trafem zranił uciekającego w szyję. Krew się obficie puściła, nasz złodziej osłabł a żandarm zbliżywszy się doń, rozpoznał w nim odrazu Nehedyego. Ponieważ byli niedaleko od jego domu, weszli razem, parobek, pobiegł po lekarza, który mieszkał w tej wsi. Lekarz przybył i oto widzimy na naszym obrazku wszystkich zgromadzonych koło łóżka chorego. Wkrótce przyplątała się inna jakaś niebezpieczna choroba i Nehedy już się więcej nie podniósł. Do przedwczesnego grobu zaprowadziła go nieszczęsna żyłka złodziejska.

Dzikie pijaństwo. *(K. S.)* W gminie Hłuboczku wielkim, pow. Tarnopol, zaszedł tragiczny wypadek. Dnia 30 grudnia 1910 wieczorem zabawiało się kilku gospodarzy w karczmie kieliszkiem a między nimi Prokop Zwarycz i jego szwagier Ołeksa Głębocki i wszczęła się między nimi sprzeczka, wtedy Zwarycz poszedł do sklepiku na przekąskę a za nim Głębocki i tam go pchnął nożem w lewy bok poniżej żeber, a sam uciekł. Zwarycz po dwóch godzinach skonał a Głębockiego aresztowano.

Duch w zamku. W jednym z zamków w Tyrolu, na wsi, w lecie tego roku mieszkała pewna pani z córką. Zajmowały dwa pokoje, bardzo zadowolone z pobytu na świeżem powietrzu. Pewnego wieczoru stróż miejscowy, z którym obie panie wdały się w rozmowę, naopowiadał im niesłychanych historyj o dziejach tego starego zamku, o zmarłych jego właścicielach i o duchach, które czasami miały się pojawiać w nocy na kurytarzach i pokojach. Nic dziwnego, że opowiadanie starego stróża wywarło na słuchaczkach wrażenie. W nocy budzi się owa pani



z bijącem sercem, bo miała jakiś męczący sen, siada na łóżku, przeciera oczy i w zmroku nocnym widzi, jak jasna zarzutka, powieszona na otwartem wewnętrznem skrzydle okna, jakoś niesamowicie się rusza. Do tego słyszała wyraźnie jakiś przykry stuk czy zgrzyt dochodzący od ruszającej się zarzutki. Okno od zewnątrz było zamknięte: nie mógł więc wiatr zarzutką poruszać, tem więcej też wszystko przerarażonej kobiecie wydało się okropnem. Oblana zimnym potem, z tłukącem się w piersi gwałtownie sercem, zaczęła jęczeć zdławionym głosem, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca: »Boże! ratunku! Emilko, czy śpisz?« Emilka — takie było imię córki — zbudziła się, nasłuchuje i woła: »Mamo, co ci jest?« Matka jednak już oprzytomniawszy, nie sądząc, żeby to był duch, lecz chyba złodziej, siedzący na oknie za zarzutką, ośmielona przytem, że córka nie śpi — zaczęła już na cały głos wołać: »Złodziej! złodziej! gwałtu! łapać złodzieja!« Gdy to usłyszała córka, przerażona do najwyższego stopnia, jęła krzyczeć w niebogłosy: »Złodzieje, zbóje, mamę mordują!« Równocześnie wybiegła na kurytarz, zbudziła służbę i ruch się zrobił ogromny w cichej, starej budowli. Ludzie wpadli ze światłem do pokoju przerażonej pani, pobiegli do owej ruszającej się zarzutki, zajrzeli poza nią — i jak się nie zaczną śmiać, aż się popłakali, jak bobry. Przestraszona dama ogromnemi oczyma na nich patrzy i nic nie rozumie. Wtem jedna ze służących zdjęła z okna zarzutkę i okazało się, że za nią siedział oswojony kruk, który chodził po całym zamku i przed wieczorem umieścił się na noc niespostrzeżenie za powieszoną zarzutką. Obudziwszy się na chwilę, zaczął dzióbać błyszczące guziki zarzutki, co sprawiło, że się ruszała i słychać było podejrzane stukanie.

Już dama, zrozumiawszy, że się co do ducha zamkowego jak i złodzieja pomyliła i nadaremnie zaalarmowała tylu ludzi, zostawszy sama z córką w mieszkaniu zabierała się do spoczynku, gdy pod oknem posłyszała trąbkę miejscowej straży pożarnej. Ktoś z sąsiadów bowiem, nie zrozumiawszy widocznie o co taki gwałt powstał w zamku, sądząc, że wybuchł wewnątrz ogień, pobiegł po straż, która była w tej wsi — i w kilkanaście minut sikawka i beczkowóz stanęły pod oknami zamku.

Na naszym obrazku widać tę całą zabawną przygodę, która tak się zakończyła, że owa pani, wstydząc się, że tylu ludzi bez powodu zaniepokoiła, uczęstowała ich hojnie nazajutrz, byle tylko na nią nie narzekali i, co gorsza, nie wyśmiewali się z jej strachu przed »duchem zamku«.

Dlaczego Pan Jezus w żłóbku płakał? Było to w styczniu 1872 roku podczas najbardziej zawziętej walki rządu pruskiego z Kościołem katolickim, która trwała całe 10 lat. Po kolędzie przybył do pewnego polsko-katolickiego dworu w okolicy Goruszek w Wielkopolsce zakonnik Bernardyn. Dziedzic, nader zacny człowiek, mile go przywitał, a że była godzina południowa, więc go poprosił na obiad. Na wakacye do owego dworu zjechało dwóch młodych krewnych dziedzica z gimnazyum w Rawiczu. A że po pruskich szkołach wyższych zwykle przedrwiewanie wiary, a z nią i księży katolickich, jest w modzie, przeto też ci dwaj panicze, przesiąkli takiemi naleciałościami, zasiadając obok zakonnika do obiadu, postanowili sobie zakpić z niego. W trakcie obiadu tedy odzywa się jeden z młodzieniaszków do zakonnika:

— Niechże nam też Wielebny Ojciec powie, dlaczego to Pan Jezus, chociaż Bóg, w żłóbku płakał?

Na to zakonnik, widząc drwiąco uśmiechających się studenciaków, rzecze:

— Moi mili paniczowie, jakże to Pan Jezus, ta Boska Dziecina w żłóbku, nie miał płakać, kiedy spojrzał na prawo (tu zakonnik zwracając się do studenta na prawo) zobaczył wielkiego wołu, a zwracając się na lewo (zakonnik spogląda w tęż stronę) spostrzegł niemałego osła.

Dziedzic z dziedziczką wybuchnęli głośnym śmiechem, dwaj młokosi strasznie spuścili nosy na kwintę, a po skończonym obiedzie uciekli, nie pożegnawszy się nawet z zakonnikiem.

Kogut mordercą dziecka. Wiadomo, jak niektóre koguty, którym już rok minie, bywają zacięte i złe. Nietylko że z innymi kogutami, kaczorami, indykami staczają krwawe walki, ale rzucają się na ludzi, szczególnie na dzieci i kobiety. Robią to dlatego, że dzieci koguty często drażnią, a te, dziubią ich po nogach nieraz do krwi, tak że mogą łatwo dziecko do jakiego kalectwa doprowadzić.



W pewnej styryjskiej wsi zdarzył się we wrześniu wypadek, który w całej najbliższej okolicy wywołał wielkie wrażenie: złośliwy kogut gwałtownem dzióbnięciem w głowę półtorarocznego chłopca spowodował śmierć dziecka. Chłopiec pozostawiony chwilowo, sam, gdyż rodzice byli właśnie w polu, a starsza siostra wbiegła do chaty, siadł sobie na podwórzu i jadł kawałek otrzymanego chleba. Spostrzegł to ogromny kogut sąsiada, przefrunął przez płot i zbliżył się do dziecka, aby pochwycić chleb. Gdy chłopiec się nań zamierzył, rozzłoszczony tem kogut, wskoczył mu na ramiona i zadał dzióbem cios w głowę koło ucha. Zrazu rana nie zda-

wała się groźną, lecz następujących dni dziecko ustawicznie gorączkowało, nie chciało nic jeść, rodzice więc pojechali do miasta do lekarza z prośbą o pomoc. Lekarz ranę oglądnął i kazał dziecko zostawić w szpitalu, gdzie w parę dni ofiara zaciekłego koguta rozstała się z życiem.

Zaburzenia w miastach rosyjskich. Gdy niedawno temu umarł wielki rosyjski pisarz Lew Tołstoj, który występował w swych pismach niejednokrotnie przeciw okrucieństwu i niesprawiedliwości rządów rosyjskich, znaleźli się w niemałym kłopocie ministrowie w Petersburgu. Cały naród rosyjski, podobnie jak zresztą cały świat cywilizowany, uważał zmarłego pisarza za chlubę rosyjskiego piśmiennictwa, oddał też jego pamięci należną cześć w gazetach wszystkich języków i na zebraniach. Nie łatwo jednak było uczynić to w samej Rosyi. Rząd zakazał wyrażać publicznie cześć dla znakomitego poety. Starsi ludzie, jak zwykle, rozważniejsi, wstrzymali się od hałaśliwego oddawania hołdu zmarłemu, lecz młodzież, gorąca i zapalczywa, nie troszcząc się o to, co rząd powie, sformowała w Petersburgu olbrzymią żałobną procesyę. Brali w niej udział słuchacze i słuchaczki uniwersytetu i innych zakładów naukowych, poza tem dużo publiczności. W procesyi niesiono obrazy z wizerunkiem Tołstoja i śpiewano rosyjską żałobną pieśń »Wieczna pamięć«.



Policya odrazu w sile kilkuset ludzi znalazła się obok pochodu, zawezwano także kozaków. Zrazu pochód postępował bez przeszkody, lecz na jednej z ulic policya go wstrzymała i aresztowała 300 studentów. Powstało zamieszanie, wiele ludzi zaczęło uchodzić; wśród tego konni kozacy rzucili się z nahajkami na biorących w procesyi udział i zaczęli ich ćwiczyć nahajkami. Wiele osób poupadało na ziemię, wielu zraniono ciężko.

W innych miastach Rosyi, jak w Moskwie i Odessie, odbyły się podobne nibyto procesye i podobnie też po barbarzyńsku je rozpędzano. W Moskwie znalazła się też garść ludzi, oczywiście pragnących rządowi się przychlibić, którzy występowali przeciwko pamięci wielkiego Rosyanina. Ci obchodzili ulice, przystawali przed księgarniami, a w których spostrzegli za szybą wystawową portret Tołstoja lub jego książki, rozbijali szybę a książki i portety na chodniku deptali, wykrzykując obelżywe słowa na zmarłego. Widzieli to policyanci i urzędnicy policyi, ale żadnemu z tych, co dopuszczali się wstrętnego nadużycia, nie przeszkadzali i żadnego nie pociągali do odpowiedzialności, mimo oczywistej winy.

W ogólności ważnego powodu tego rodzaju zaburzeń zwykle trudno się poważnemu człowiekowi doszukać; młodzież krewką a mało rozważną bądźco popchnie do demonstracyi, strajków, a nawet większych wybryków. Tak zwłaszcza było w Odessie. Z powodu powierzenia kasy na wieczorze studenckim profesorom — studenci, już podrażnieni przedtem Tołstojem — uczuli się tem zarządzeniem pokrzywdzeni i rozpoczęli burzliwe wiecowania. Następnie na balu studenckim polali salę bardzo cuchnącymi płynami, tak, że wiele setek zgromadzonych pań i mężczyzn musiało salę opuścić, przyczem przyszło do krwawych bójek. Innym razem rozpoczęli gęstą strzelaninę do oddziału policyi i kozaków, ci zaś dali kilka salw do studentów. Po obu stronach było wielu rannych. Aresztowano kilkuset studentów.

Również na uniwersytetach i politechnikach w Petersburgu, Moskwie i Kijowie przyszło do strajków i zaburzeń. W Petersburgu kilkudziesięciu studentów zasądzono na więzienie do dwóch miesięcy, a w Kijowie ukarano 431 studentów na grzywny i areszt.

Obrazek większy przedstawia widok procesyi żałobnej w Petersburgu, gdy kozacy wpadli w tłum i okładają ludzi nahajkami: mniejszy znieważanie portretu Tołstoja w Moskwie przed księgarnią.

Pochód pijaków w Nowym Jorku. W Ameryce rozpowszechnione jest bardzo, zwłaszcza po wielkich miastach, stowarzyszenie pod nazwą: Armia zbawienia. Należą doń tysiące ludzi z różnych zawodów, a celem tego stowarzyszenia jest umoralniać ludzi, odwodzić od złego, słowem działać w ten sposób, aby z każdego robić prawdziwego chrześcijanina, żyjącego po bożemu. Jedno z najważniejszych zadań Armii zbawienia, do której i wiele pań należy, jest zwalczanie pijaństwa, bardzo rozszerzonego w Ameryce. Gorliwi członkowie »Armii« różnymi sposobami starają się pijaków naprowadzić na uczciwą drogę. Jedni miewają gorące, pełne zapału przemówienia w salach stowarzyszeń, a często i na ulicach, gdzie widzą wielu zgromadzonych słuchaczy. Zdarza się też nieraz, że, zwłaszcza panie, wpadają do szynków i gospód, i tam zaczynają pijących na wszystkie świętości zaklinać, aby opuścili lokal, zaprzestali picia i poszli do domu. Niektóre, bardziej zapamiętałe w nawracaniu, porywają flaszki i kieliszki z wódką i tłuką o ziemię, poczem oczywiście za szkodę muszą właścicielowi zapłacić.

Niedawno w Nowym Jorku, po licznem zgromadzeniu na którem wiele mów wygłoszono, setki członków Armii zbawienia idąc ulicami, wstępowało do sklepów, handli i restauracyj i przemową lub namowami wyciągało pijaków, poczem zebrawszy ich wielką liczbę i prowadząc pod ręce, przechodzili tak w ogromnej masie ulicami Nowego Jorku.



Obrazek nasz przedstawia ten ciekawy pochód. Oczywiście, że tych pijaków, jak i nawracających, nie było tyle tysięcy, ile wyobrazić sobie można z obrazka. Ale, że Nowy Jork jest milionowem miastem, ustawicznie do pochodu przyłączały się setki gapiów, wśród nich też dużo podchmielonych — i z tego urósł pochód do kilkunastu tysięcy ludzi. Celem tego publicznego oprowadzania pijaków, było pokazać mieszkańcom, do czego to wódka dopro-

wadza i obrzydzić im nałóg pijaństwa. Ale mieszkańcy i bez tego pochodu dobrze wiedzą, jak pijak wygląda, to też — jak piszą tamtejsze gazety — nikt się po tej pijackiej procesyi nie poprawił, tylko śmiechu było z niej dużo.

Bądź co bądź jednak dążności stowarzyszenia Armii zbawienia są bardzo piękne i zasługują na uznanie. Tylko, że Amerykanie lubią różne dziwactwa, więc chcąc pijaków ośmieszyć, umyślili sobie z taką paradą publicznie przeprowadzić ich przez miasto.

Dziewczyna z brodą. W Wiedniu pokazują obecnie pewną polską dziewczynkę, ośmioletnią Jadwigę Kosińską, która pochodzi podobno z pewnej wsi w Księstwie Poznańskiem. Dziewczynka ta odznacza się tem, że ma bujny zarost włosów na podbródku, oraz potężne wąsy naturalne, wcale nie przyprawione. Twarz dziecka robi wrażenie dojrzałego mężczyzny, który mówi grubym głosem. Mała Jadwisia, z której naśmiewały się rówieśniczki, zmuszoną była opuścić wioskę rodzinną i teraz pokazuje się za pieniądze, jako wybryk natury.

Pożarty przez niedźwiedzia. Okropną historyę, która zakrawa raczej na jakąś fantastyczną bajkę rozbójniczą, opowiada »Dziennik śląski«. Pewien węgierski druciarz wędrował od kilku dni od wsi do wsi po Śląsku pruskim, szukając zatrudnienia. W drodze, prowadzącej do Opawy, spotkał się z bandą cyganów, którzy wiedli z sobą małpy, wielbłądy, niedźwiedzie itp. Cyganie rzucili się na druciarza, zabili go, a ciało jego rzucili niedźwiedziom na pożarcie. Widział to pewien dozorca dróg, który o wypadku doniósł natychmiast policyi. Policya urządziła pościg za cyganami, których też znaleziono niezadługo. Na miejscu wypadku znaleziono jeszcze kości ludzkie, poobgryzane przez niedźwiedzia. Niedźwiedzia kazano zastrzelić i w żołądku jego znaleziono nieprzetrawione kawały mięsa z zamordowanego druciarza. — Taką historyę opowiada »Dziennik śląski«, ale sam powiada, że w nią nie wierzy.

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Kazimierz Tokarski z M. w.).

1	.	.	.	.	.	Miasto nad Prosną.
.	2	.	.	.	.	Rzeka w Prusach Wschodnich.
.	.	3	.	.	.	Piękny ptak krajowy.
.	.	.	4	.	.	Zwierzę drapieżne z rodzaju psów.
.	.	.	.	5	.	Wieś przyłączona do Krakowa.
.	.	.	.	.	6	Miasto nad rzeką Łukawą.

Następujące zgłoski: bzów, gla, ka, kra, kal, ło, lisz, o, pa, pre, ska, sza, tów, — powstawiać w powyższy kwadrat, w każdy kwadracik po jednej literze, a litery czytane od 1 do 6 dadzą nazwę ukochanego miasta nad Wisłą.

2. SZARADA.

(Nadesłał Michał Gnojek z N.).

Jedna laska, kółka dwa
Pierwszą zgłoskę poznać da.
Drugie z trzeciem — żeńska płeć
Najpiękniejsze rada mieć.
Całość mają monarchowie
I biskupi i królowie.

3. ARYTMOGRYF.

(Nadesłał Józef Łyczak z H.).

1	9	10	11	10	1	Mieszkanie pasterza.
2	3	12	13	5	14	Dowód pamięci dla zasłużonych.
3	13	15	16	17	18	Imię męskie.
4	10	19	11	10	4	„ „
5	9	18	7	3	17	„ „
6	12	5	20	5	10	„ żeńskie.
7	3	20	5	13	10	Miasto powiatowe w Galicyi.
8	7	8	21	11	3	Słoma.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwę jednego z św. Sakramentów.

4. ZAGADKA.

(Nadesłał Franciszek Kelner z P. L.).

Co to za pani i jak się nazywa,
Co nie ma państwa a jednak panuje;
I choć w swych rządach nieraz śmieszną bywa,
Jednak jej każdy z ochotą hołduje.

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy, w nagrodę:
1) ***Pod pieskową skałą.***
2) ***Tymko Orlik.***

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 21 stycznia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 1 *Roli*: 1. Zagadka: **Bórg-grób**, 2. Zagadka: **36 gęsi**, 3. Szarada: **Panorama**, 4. Zagadka: **Żółw.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Wszystkobym dziś brał, mój panie,
Bo mi trzeba na śniadanie,
Topkę soli, lecz nie płacę,
Na bórg honoru nie tracę.
Gdy zarobię, lub co sprzedam,
Za sól panu zaraz oddam,
Boć grób bliski jest każdego
Nie chcę w grób brać borgu tego!
Żółwim krokiem ten, kto idzie
Do roboty — ten się biedzie
Nie opędzi; — będzie w nędzy,
Bo żółw mu nie da pieniędzy.
Na żółwia się nie zapatruj,
W pilnej pracy grosz upatruj,
Bo z pracy i oszczędności
Szczęście w domu twym zagości.

Adam Rzeżwicki z R. (Bośnia).

2.

Pierwsza zagadka
Idzie jak z płatka:
Bórg ubogiego,
Grób u każdego!
Zagadka druga
Jest trochę długa,
Zrobię wierszy mało
Trzydzieści sześć ich leciało.
Trzecie szarady trudne bez rady,
Para, rano, nora, mapa, mara, rama,
Całość będzie panorama.
Zagadka czwarta
Jest mała znów,
Ta śmiechu warta,
Bo to jest żółw.
Zagadki już rozwiązane,
Napewno książkę dostane,
Gdy mnie książka zadowoli
Będę za nią wdzięczny »Roli«.

Franciszek Bieniak z K. g.

3.

Gdy bić w człowieku serce przestanie,
Wtedy dostanie grób na mieszkanie,
Który i Maćka Bzdurę nie minie,
Gdy w świecie bardzo... bardzo zasłynie;
Bórg mu się w kupę złota zamieni,
Tych sześć trzydzieści gęsi, to mało,
Bo jemuby się więcej przydało.
Nawet ów gąsior w jego gardzieli
Zniknąłby po ślubie pierwszej niedzieli,
Bo skoro Maciek tak gada w »Roli«,
To go z pewnością i gardło boli.

Franciszek Kelner z P. L.

4.

Hej bracia! Kto na bórg u żyda bierze,
By zawiele nie wziął niechajże się strzeże!
Żyd chętnie daje, gdy majątek widzi,
Potem cię zlicytuje i brzydko wyszydzi.
Jak zwierzątko ciągnie owies wciąż do żłobu.
Tak też ludzi starość popycha do grobu.
Jednak młodzi! nam nie myśleć o grobie
Dopóki Ojczyzna nasza jest w żałobie...
Dziś nam młodym łamać największe przeszkody
Z Bogiem w sercu dążyć szybko do swobody.
Ach, zagadka rachunkowa
To rzecz wcale doborowa,
Ona myśleć dobrze każe,
Zanim wynik się pokaże..
Ale przecie rozwiązałem
I wtedy się dowiedziałem,
Że w powietrzu nie dużo nie mało
Tylko trzydzieści sześć gęsi leciało.
Para z garnuszków uchodzi,
Rano wtedy, gdy słońce wschodzi,
Rama nam obrazy zdobi,
Norę często woda żłobi;
Mapa kraje pokazuje,
Mara pijanych napastuje..
Wszyscy znamy panoramy,
Choćby z opowiadań mamy.
Jeśli »włóż« wspak przeczytamy
Wtedy zwierzę otrzymamy.
Żółw w tak twardej jest skorupie,
Że jej fura nie rozłupie.

Józef Kobylański z L.

5.

Gdy raz byłem na odpuście,
To panoramę widziałem,
A że to było w mym guście,
Wejść do środka zaraz chciałem.
Ale nie miałem pieniędzy,
A tam także płacić trzeba,
Na bórg chciałem iść czemprędzej
Lecz tam strzegli, jak Piotr nieba.
Jeden mówi do mnie wtedy:
Ty nie zapłacisz do grobu,
Zresztą nie mam z sobą kredy...
Nie byłem z tego powodu,
Później mi opowiadali,
Sąsiedzi i parobczaki,
Że tam zwierzę pokazywali,
Żółwie i inne skorupiaki.
Tak to tedy rozwiązałem.
(Gęsi było sześć trzydzieści)
Potem do »Roli« wysłałem.
Czy wygram? »Rola« obwieści.

Józef Ralski z O.

Innych rozwiązań wierszem, pomimo że były niezłe, nie umieszczamy, gdyż były pisane po obydwóch stronach papieru, a to przydaje dużo pracy.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Karol Maj z B., Jan Bassara z D., Piotr Sendyk z P., Józef Wilk z K.. Cypryan Huhro z B., Stanisława Szołginia z L., Kazimierz Tokarski z M. w.. Dubaj Wład. z J, p., Jakób Stręk z N., Gabryel Szelag z K., Franc. Gondek z Cz. W., Gnojek Michał z N., Masłyk Józef z P., Jan Partyka z O. t., Józef Łyczak z H., Soboń Piotr z K., Józefa Hirszberg z K. Józef Gasiński z B., Franciszek Nowak z M. w., Józef Witek z Ś., Franciszek Moskal z G., Mikołaj Wielkiewicz z N. T., Karol Baron z P., Jakób Kassolik z P., Piotr Gajoch z P., Stanisława Kowalska z K., Jakób Paff z Ch., Józef Witkowski z N., Ludwik Misiura z B., Franciszek Markiewicz z S., Kazimierz Szeliga z B., Jan Inglot z S., Kazimierz Kowalski z K., Jan Moś z Cz., Kazimierz Szymański z P., Serafin Michał z W. Z., Jan Ratyński z M., Tercha Franciszek z B., Jan Spławiński z J. p., Franciszek Kidoń z R., Fr. Teper z M. K., Dziwisz Wład. i Cham Adam z W. r., Czaja Fr. z B., Jan Lejowski z Cz. D., Michał Dudek z Z., Wojciech Mroczek z I., Emilia Krupa z G. Z., Zofia Oraczewska z Ż. Eugeniusz Oczkowski z G., Izydor Wardzała z Ł., Józef Markiewicz z S., Józef Gąsior z S., Józef Wiśniowski z W. g., Jakób Markiewicz z S., Bednarz Piotr z T., Kazimierz Szymański z P., Władysł. Kisała z K., Stan. Włodarczyk z P., Bernard Franek z P., Franc. Cyran z M., Stefania Szybowiczówna z S., Antoni Korzonek z Z., Wojciech Szocik z D. m., Jan Iwański z T., Mikołaj Wyżykowski z R., Jan Walczak z Z., Alojzy Mańdok z Cz., Bereta Tomasz z B., Michał Pietryka z B., Józef Jarmuła z Z., Jan Płodzień z Ch., Czytelnia z Borowej, Jan Florek z R., Wł. Lanoszka z S., Jan Gajdaczek z B. Józef Porada z Z., Wincenty Cechowy z P., Ferdynand Hądz z G., Kubielas Józef z L., Miś Jan z W., Kowal Piotr z P., Buszydlik Agnieszka z W., Jan Filipiak z T. Władysław Witek z Ś., Wojciech Żak z P., Jan Śliwiński z B., Adela Bezokówna z K. m., Antoni Małecki z Z., Jan Wajda z L., Wincenty Szatko z L.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Dzielny ułan*** wylosował **p. Cypryan Huhro** z B.; zaś drugą p. t. ***Bolesław Chrobry*** p. **Piotr Sendyk** z P.

Odpowiedzi Redakcyi.

Karol Maj z B., Jan Bassara z D., Piotr Sendyk z P. i Józef Wilk nadesłali jednakowe zagadki równocześnie, więc ich drukować nie będziemy. Prosimy nadsyłać tylko własnego układu. — Cypryan Huhro w B: Zagadki dobre i będą drukowane; na przyszłość prosimy pisać do druku po jednej stronie papieru. Numer ma pan 1557. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa. — Gabryel Szelong w K.: Nadesłane zagadki były już w »Roli«. — Franciszek Gondek w Cz. W.: Numer 3956 należy do Pana. Wydrukowane było W. i na opaskach taki adres, gdyż niewyraźnie Pan napisał. — Stanisława Szołginia w L.: »Porzeczka« a »pożyczka«, to nie wszystko jedno. Kelnerzy mogliby nas nabić, przeczytawszy drugą zagadkę. Prosimy o inne. — Franciszek Markiewicz w S.: Przyszły zapóźno; prosimy o coś innego, a te schowamy do przyszłego roku. — Władysław Dubaj w J. p.: Numer na opasce 4017 należy do Pana, prenumerata potwierdzona na dodatku. Maciek dziękuje. — Władysław Dziwisz w W. r.: Pojedynczych numerów z 1910 r. już nie mamy, tylko całe roczniki pięknie oprawne. Pozdrowienia. — Wojciech Mroczek w K.: Jeżeli dochodzi, szkoda pieniędzy na zmianę adresu. — Jakób Stręk w O.: Zagadkę wydrukujemy. Dodatek był w numerze 2. Wiadomość zamało ciekawa. — Kazimierz Tokarski w M. w.: Zagadki Pańskie są dobre i będą drukowane. Arytmogryf i łamigłówkę mamy, ale trudno wszystkie rzeczy odrazu wydrukować. Za życzliwość serdecznie dziękujemy i przepraszamy, żeśmy na pierwszy list nie odpowiedzieli, ale dostając dziennie po 100 i więcej listów, nieraz i ważną rzecz przeoczyć można. — Stefania Szybowiczówna w S.: Wierszyk nadesłany nam jest bardzo dobry, ponieważ jednak tchnie życiem i wiosną, więc wydrukujemy, go gdy wiosna będzie na ziemi. Unikać trzeba tylko złych rymów jak w »stawie« — »żórawi«. Prosimy o inne utwory. Czy można podpisać całem nazwiskiem, bo my to wolimy.— Władysław Kisała w K.: Jeżeliśmy nie odpowiedzieli to musiał się gdzieś list zarzucić lub nie dojść. Obecnie nie wiemy, o co się rozchodzi. Nestor Koniuszecki w H.: Tylko od introligatora otrzymamy, zaraz wyślemy. — Antoni Kapusta w Ł. g.: Maciek gadał przez cały rok 1910, więc najlepiej kupić cały rocznik oprawny za 4 kor. Jan Kędziora w W.: Z zasady nie kredytujemy — na 4 korony i najbiedniejszy zdobyć się może. — Józef Jarmuła w Z.: Wierszyk »Do broni!« dobry. Dziękujemy. — Zygmunt Jodłowiak z J.: Wiersze słabe — nie do druku. — Józek Kubaczki w B.: Wierszyk za słaby — nie będzie drukowany. — Jędrzej Goleniec w L. g. Wysyłamy regularnie, prosimy upominać się na poczcie. — Paweł Woźniak w S.: Niech się sąsiedzi trzymają swojego a Pan swojego. Po roku przekonacie się kto lepiej wyjdzie. — Olesiak Stanisław w W.: Numer Pański 2874. — Jan Duda w Ch.: Kalendarzy w tym roku na sprzedaż nie mamy. — W. Dymek w N.: Dlatego, gdyż prenumerata za 1911 r. niezapłacona. — Czeczot Ludwik w B.: Numer 2417. — Jan Walczak w Z.: Owszem prosimy. — Tomasz Bereta w B.: Numer ma Pan 2135. — Jan Zontek w K.: Numer 3633. — Jan Miecik w W. Numer 318. — Karol Burian w K.: Po otrzymaniu prenumeraty numera wyślemy. Kalendarzy już nie mamy. — Stanisław Nowak w P.: Wysłany, trzeba reklamować. — Gunia Wojciech w G.: Numer 470. — Marcin Półtorak w M.: Kalendarz poszedł 9 grundnia. — Barbara Siwkówna w G. S.: Wysłane 17 grudnia. — Jan Bratek w W.: Dziękujemy za pochwały. Losowaliśmy nie my, ale c. k. Notaryusz. Co komu wypadło, to wypadło. Myśmy każdemu po równi szczęścia życzyli. — Józef Wiśniowski w W. G.: Obydwa wysłane, numery idą, prosimy reklamować. Napiszemy do Lwowa. — Tadeusz Rąpała w J.: Numer 53 nie mógł przyjść, bo nie wyszedł. Rok 1910 miał niedziel 52 i tyleż było numerów »Roli«. — Czytelnik w Bośni: Podaje pan pocztę Winthorst, miejscowość Miljovac, ale nie podaje Pan swego nazwiska. Jakże mamy zbadać reklamacyę, skoro nie wiemy czyja jest? Wojciech Wielgus w G. F.: Przecież do kalendarza prawa Pan niema i Pan o tem wie.

Jan Bednarek z Ł. d.: Prenumeratę za Michała Jaśkiewicza otrzymaliśmy, ale nie było napisane na czeku za kogo. Potwierdziliśmy ją pod numerem 3954 na Pańskie nazwisko. Prenumeraty innych były potwierdzone pod Nr.: dla Słomka 3515, dla Jana Konia 3516, a dla Józefa Konia 3514. — Jan Wątroba w W.: Prenumerata była potwierdzona pod numerem 4238. — Władysław Witek w Ś.: Zagadki będą drukowane, ale naraz kilkaset trudno — prosimy o cierpliwość. — Michał Polański w S.: Pojedynczych numerów z roku 1910 już nie mamy — mamy tylko całe roczniki. — Andrzej Wróbel w K.: Wierszyk będzie drukowany, ale później. — Marya Zalasińska w S.: Numer 1932 był podany w potwierdzeniach. Józef Barcik w S. Dziękujemy za pochwały. Proszę »Rolę« zachwalać innym, za dawne numery proszę nam przysłać owe marki i będzie kwita. — Jan Kryza w P. Numer 1399. — Wiktor Izbebski w T. Proszę się uspokoić. W przyszłym tygodniu. Jan Jachowski w C. Prywatnych pośredników nie angażujemy. Koron 5·30 wystarczy na posyłanie do 15 listopada, zatem niej jest prenumeratą całoroczną. — Jan Tyndiuk w Ł. Wysyłamy regularnie, o co idzie? Jan Szymański w Ł. Reklamacya usprawiedliwiona, proszę się zaraz zgłosić na pocztę po 16 stycznia — Antoni Kerpina w M.

Kalendarz poszedł ale wrócił, bo adres podał Pan niedokładny. Poszlemy znowu — Jan Grzęda w R. Wysyłka numerów przerwana bośmy nie otrzymali prenumeraty. Tak wszystkim robimy i będziemy robić. Józef Lenar w R. Skoro Pan powiada, że ktoś za Pana podjął, cóż nas to dotyczy? Zresztą proszę poczekać, może się da co zrobić. — Marcin Prochera w H. Bóg zapłać za dobre słowa! Ciepło się robi na sercu Redakcyi, gdy się takie listy otrzymuje. — Franc. Duda w D. Kalendarz poszedł 17 grudnia. Proszę zapytać na poczcie. — Franciszek Żyguła w Ł. K. P. Posłany był i kalendarz i numery, ale podał Pan pocztę fałszywą Tarnów; numery wróciły a kalendarz gdzieś przepadł. Czy mamy za to odpowiadać? — Jan Kapała w G. Prenumerata zapłacona tylko za 11 miesięcy. Trzeba jeszcze 60 fen., kalendarz pójdzie. — Stanisław Michalik i Franciszek Cetera w Ch. Dobrze, dobrze, pisaliśmy, pójdą.

Potwierdzenia prenumeraty:

Po zamknięciu spisu do »Podarku szczęścia« całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Wójciak Bronisław z N., Maksyś Mikołaj z D., Knebel Stanisław z D., Niemiec Georg z K., Guziec Józef z Z, Grygierczyk Jan z S., Lubera Benedykt z J., Śrutek Gaweł z S., Antoni Szczyrbak z P., Stanisław Konieczny z B. p., Wapiennik Franc. z M., Jan Szpytna z M., Związek kat. społ. z Z., Andrzej Kawecki z Ł. g. Józef Gniadek z B., Wilhelm br. Czecz z K., Baran Wojciech z J., Kopeć Franciszek z S., Gudz Wojciech z O., Andrzei Sielecki z K. w., Ks. Józef Caputa z J., Ludwik Bieniek z N. w., Zbigniew Horodyński z Z. (16 K.), Oskar Bonkowicz Sittauer z Ch., Jan Firlit z R., Marcin Hłapek z T., Aleksander ks. Radziwiłł z G., **4828** Bujak Stanisław z D. szcz., **4829** Łyszczarz Barbara z D. szcz., Kała Andrzej z Ch., Jakóbczak Józef z M., Chorzępa Michał z K., Cielecki Ignacy z P., Baba Leopold z D. n., Adamczyk Jan z Ł., Kółko rolnicze Dobrzechów, Jan Mirek z K., Gosposch Józef z Sz., Adam hr. Gołuchowski z H., Czesław Świrski z O., Witwicki z K., Strzelbicki z S., Werner z K., Wojciech Leśniak z W., J. Mrozowski z K., Ludwik Kogut z M. w., Ignacy Wszołek z W., Józef Jabłoński z G., Antoni Mynarski z B., Piotr Szafarski z G., Bazyli Rudawski z Ch., Dominik Chara z P., Jan Bar z M., Marcin Szpytna z M., Franc. Świątek z S., Ks. Wład. Jelonek z Cz., Dr. Fierich z K., Bierut Antoni z K., Koło T.S.L. z M., Hadała Jan z O., Podlasek Franc. z S., Wanat Jan z R., Skirło Jan z R., Broniak Michał z R., Cudejko Jan z R., Śliwka Andrzej z U. s., Trzeciak Wł z L., Kubica Michał z P., Wawra Ludwik z Z., Ożegalski M. z B., Donocik Fr. z L., Kapera Józef z B., Jan Pigoń z K., Schrott z P. W., Marya Kocur z M., Jan Piwowarczyk z Ch., Karol Pluta z W., Paweł Mechowski z S. Kółko rolnicze w Szczawnicy.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Jan Sztec z K., Jan Wargacki z S., Antoni Gamroth z P., Aniela Stana z W. g., Wojciech Wielgus z G., Ignacy Krzyk z P., Hydzik Jan z S. Wdowiak Jan z K., Stadnicki Józef z W., Śliwka Jan z J., Franc. Wiśniowski z K., Michał Adamski z G. S., Wawrzyniec Pietrucha z Rz. N. w., Michał Myjak z K., Siostry Służebniczki z P., Bolesław Kiełb z K., Harabasz Józef z P., Niedziałek Henryk z B., Brzdęk Józef z W. o., Wiluszyk Józef z B., Szmyd Michał z K., Klamka Mikołaj z L. m., Coch Józef z M., Hamala Jan z S., Szymański Stanisław z Cz., Cisek Jan z F., Suchy Franc. z B., Michał Grad z O, Józej Stawowczyk z O., Piotr Cichoń z T. i Michał Barys z K. (3 K.). Jan Borowiec z B., Jan Kaim z Szcz. W, Cebulski Władysław z K.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Mazur Stanisław z K., Ignacy Wróbel z T., Jan Leśniak z G., Świerczek Józef z L, Bar Michał z M., Trębacz Józef z K., Jan Wąsik z K., Józef Panek z S. Anna Marszał z M. n.

Uwaga. Czeki Barbary Łyszczarz i Stanisława Bujaka z D. szcz. wysłane przez nich jeszcze 6 grudnia 1910 r. dopiero 7 stycznia 1911 r. pocztowa Kasa oszczędności we Wiedniu nadesłała. Wskutek tego dołączamy je do losowania »Podarków szczęścia«. Czek p. Bujaka ma numer 4829 zaś czek p. B. Łyszczarz nr. 4828.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 10 stycznia:

Buhaje	Kor.	150	do	360	za sztukę
Woły	„	200	„	350	„
Krowy	„	156	„	346	„
Jałówki	„	80	„	240	„
Cielęta	„	56	„	88	„
Owce i kozy	„	20	„	40	„
Świnie (bita waga)	„	124	„	144	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 10 stycznia:

Pszenica	Kor.	10·10	do	10·60	za 50 kg.
Żyto	„	7·35	„	7·65	„
Jęczmień	„	7·50	„	8·—	„
Owies	„	7·65	„	8·—	„
Otręby pszenne	„	4·75	„	4·90	„
Otręby żytnie	„	4·60	„	4·65	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.